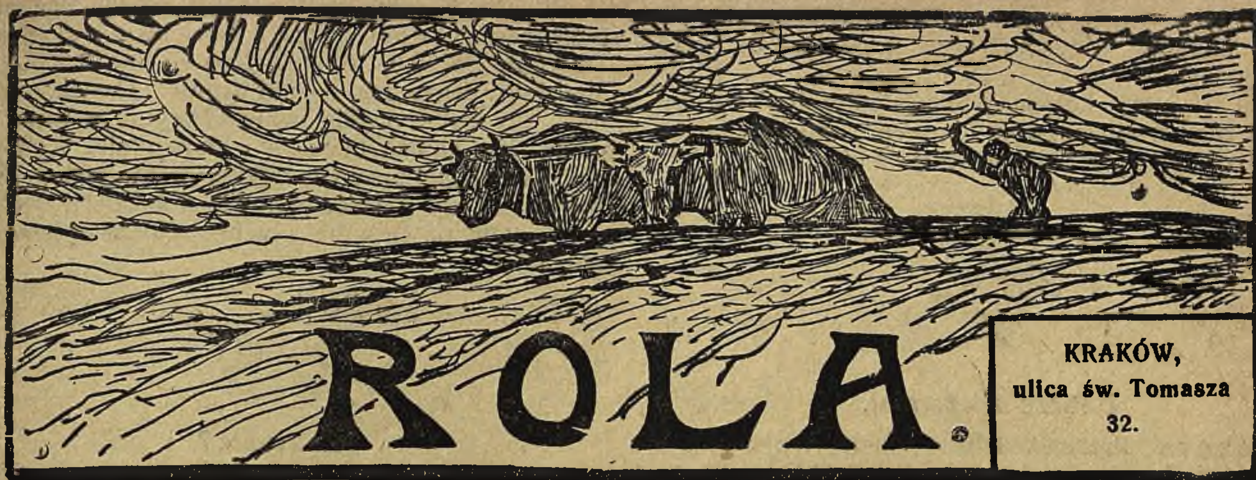
Numer 8 Nał. poczt. opł. rycz. Dnia 20 Lutego 1927



KRAKÓW, ulica św. Tomasza 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Kalendarze już wyczerpane!

Dobrodziej.

Matka: Kaziu, coś ty zrobił? Nowiuteńkie dałam ci spodnie, a tyś już obie nogawice na kolanach podarł.

Kazio: Mój kolega Władzio potrzebuje spodni. Całych mama nie pozwoli darować, więc podarłem je nieco, aby były odpowiednie na prezent.



Dobrze zrozumiał.

Lekarz: Przecież dobrze wiecie, Wojciechu, iż chlewy nigdy nie powinny być tak blisko domu mieszkalnego, przecież to niezdrowo.

Wojciech: Co to, to nie, panie doktorze! Pan doktor się myli, gdyż świnie jeszcze ani godziny nie chorowały.



Wynalazca.

— Proszę tatusia, kto wynalazł proch?

— Głupi chłopcze, daj mi spokój — ja go nie wynalazłem.

Opowiadanie myśliwego.

Idąc sobie raz, panie, lasem wedle Maćkowego dęba, patrzę — stoi sarna i mech skubie. Przyłożyłem flintę do oka, wygarnąłem — sarna stoi. Wygarnąłem drugi raz — ani drgnie. Oszalała głupia koka, czy co — myślę sobie. Przybiłem trzeci raz! buch! Nic. Znowu buch — i znowu nic. Wystrzelałem, panie, piętnaście nabojów, a ta głupia ani się ruszyła. A czy wiecie, panowie dobrodzieje, dlaczego? — Oto po prostu: głuche było bestyjstwo, jak ten pień!



Co zrobić?

Kaśka! Jestem w wielkim kłopocie.

Zośka: Cóż takiego?

Kaśka: Karol mi przyrzekł, że przestanie pić, gdy wyjdę za niego, a Jan znowu zaklina się, że się rozpije, jeżeli za niego nie wyjdę.

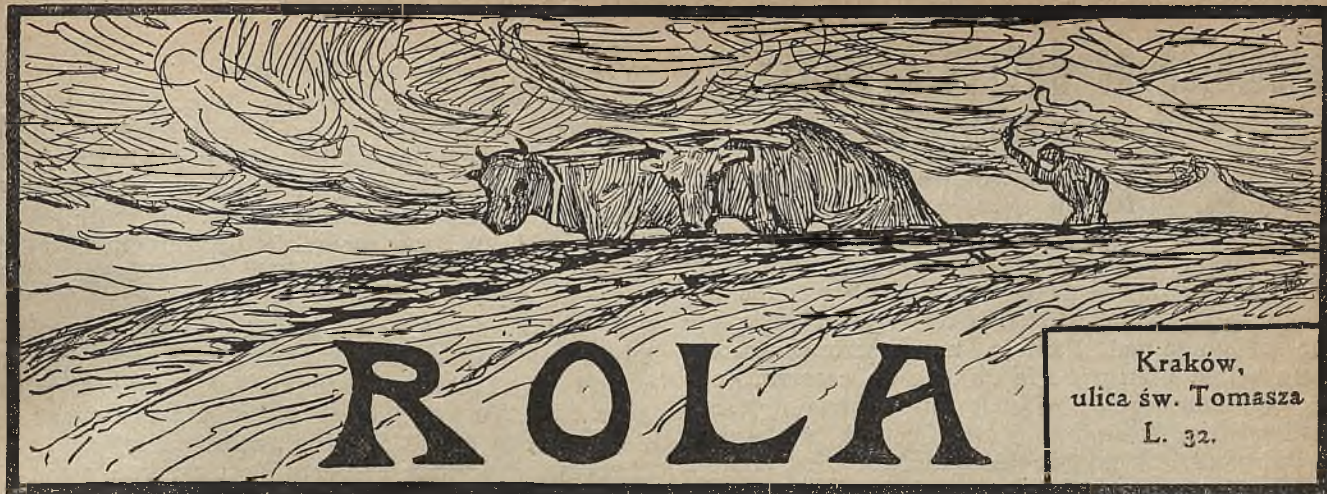


Srebrne wesele.

— Marcinie, słuchajno! Od dziś za tydzień przypada nasze srebrne wesele. Możebyśmy na uroczystość świnię zabili?

— A to czemu? Cóż biedna świnia temu winna, że ja przed 25 laty takie głupstwo palnąłem.

Numer 8. Rok X. Kraków, dnia 29 Lutego 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 gr. Ogłoszenia zwykłe 20 groszy za jeden wiersz milimetrowy jednoszpaltowy (9 cm.), ogłoszenia zamiejscowe o 20 proc. droższe. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Alkohol i jego skutki.

Jak nam wiadomo, ludzie, którym dobro społeczeństwa leży na sercu, zalecają gorąco powstrzymanie się od używania napojów, które zawierają alkohol, a więc wódki, piwa, wina i t. p. Słyszymy to często z ust kapłanów na ambonie, słyszy młodzież w szkole, mówią o tem ludzie starsi i poważni, a nawet zawiązują się towarzystwa, których członkowie zarzekają się używania jakiegokolwiek napoju, zawierającego alkohol.

Nie od rzeczy będzie więc zapoznać się z działalnością tego alkoholu. Jak stwierdzają uczeni, alkohol jest napojem, zawierającym substancję trującą, a więc szkodliwą dla zdrowia. Wódka zawiera 33 do 45 procent alkoholu, wino 6 do 10 proc. piwo 2 do 4 proc., a tylko silny spirytus ma go do 90 proc.

Że alkohol jest szkodliwy dla każdego człowieka, tego nie starają się zaprzeczyć nawet najwięksi pijacy. Zależy tylko, kiedy i w jakim stopniu ta szkodliwość się objawia. Otóż uczeni stwierdzają, że osobom starszym i silnym mała ilość alkoholu nie szkodzi ani na ciele, ani na duchu, owszem w małej ilości użyty przyspiesza wydzielanie śluzu i soku żołądkowego, wzmacnia apetyt i dopomaga trawieniu. Niema więc powodu, by bezwzględnie i stanowczo potępiać używanie alkoholu.

Zupełne wstrzymanie się od alkoholu okazuje się konieczne tylko w następujących wypadkach: 1) U młodzieży najmniej do 14 roku życia, gdyż alkohol w małej nawet ilości wpływa szkodliwie na fizyczny i duchowy rozwój organizmu dzieci, 2) U pijaków nałogowych, ci bowiem nie pozbędą się inaczej nałogu, jeśli nie wyrzekną się trunków całkowicie. 3) U chorych na nerki, śledzionę, lub serce, u chorych na reumatyzm lub skłonnych do apopleksji. 4) Również bezwarunkowo powinni wyrzec się używania alkoholu ci, którzy zachęcają innych do wstrzemięźliwości. Bo na cóż się przydadzą ich najpiękniejsze słowa, jeżeli sami nie będą przyświecali przykładem?!

Inna rzecz, że bez alkoholu można się obyć zupełnie i w starszych latach nawet. Gdyby on nawet nie był tak szkodliwy, jak twierdzą niektórzy, to też i pożytku nie przynosi, a kosztuje pieniądze, których można użyć na inne cele, naprawdę pożyteczne i dobre.

Niektórym zdaje się, że alkohol posila. Jest to nieprawdą, gdyż on tylko chwilowo zagłusza uczucie głodu i to wprowadza ludzi w błąd. Alkohol nie wzmacnia również, ale znów tylko chwilowo podnieca, poczem następuje jeszcze większe osłabienie i senność. Mylnem jest także mniemanie, jakoby alkohol ogrzewał. W pierwszej chwili daje się wprawdzie uczuć pozorne ogrzanie, gdyż alkohol powoduje czynność serca i obieg krwi, ale wkrótce następuje okres tem dotkliwszego zimna. Niedarmo wyrzekli się alkoholu doświadczeni podróżnicy w okolice podbiegunowe, gdyż przekonali się, jak niebezpiecznem jest używanie alkoholu w temperaturze zimnej.

Widzimy więc, że napoje zawierające alkohol, to oszusty, które nas wprowadzają w błąd, przytłumiając w nas uczucie głodu, znużenia, lub zimna, ale ich nie usuwają. Ale alkohol jest nietylko oszustem, ale i rozbójnikiem, kiedy spoufalimy się z nim zbytecznie i dopuszczamy go zanadto do swego towarzystwa. 90 procent chorób u ludzi to skutki nadużywania alkoholu. Większość popełnionych zbrodni dokonują ludzie pod wpływem alkoholu. Alkohol poróżnia przyjaciół, burzy szczęście rodzinne, alkohol jest rozsadnikiem wszystkiego złego.

Tajemnica na dworze królewskim.

Powieść historyczna.

Była to połowa dopiero trudnego i wielkiego dzieła. W Rzymie miał cesarz niemiecki zwolenników i stróżów, wpływ jego był potężny. Należało z oględnością wielką przedsiębrać kroki i nie wydawać się z celem poselstwa, dopókiby drogi przygotowane nie były. A na ostatek, gdyby się udało osiągnąć od Papieża namaszczoną koronę o czem wieść niewątpliwie dojdzie do cesarza... odwieźć ją Bolesławowi, stawało się najtrudniejszem zadaniem. Czuł to dobrze Ojciec Gosbert, lecz wybór jego dowodził, jak doskonale Opat Aron znał ludzi i umiał posługiwać się nimi. Benedyktyn ten w średnim wieku, wypróbowany życiem, był mężem żelaznym, ostrym, gdy przecinać trzeba było węzły, milczącym i przebiegłym, cierpliwym w przykrem położeniu i Jurga wpatrując się w niego, starał się naśladować go ,a sam widok nowych dlań krajów i ludzi starczył mu za nagrodę, za wszystkie trudy uciążliwej podróży. Rzym w ruinach na poły, na pół w stojących jeszcze budowach wieków chwały i potęgi, przybylcowi z kraju drzewa i drewnianych budynków snem się wydawał niezrozumiałym i niepojętym. Ojciec Gosbert pomodliwszy się u wjazdu do bramy miejskiej, opowiedział się tu jako mnich Benedyktyn przybywający w sprawach klasztoru i zaraz też udał się z całym pocztem za Tybr, do benedyktyńskiego klasztoru.

Tu Ojciec Gosbert udał się wprost do przeora, a Jurgę z całym orszakiem umieszczono w gospodzie obok klasztoru. Nazajutrz przyszedł do niego słowiańskiego rodu braciszek, który mógł się z nim rozmówić. Kazano Jurdze odziać się tak, aby oczu na siebie nie zwracał i dozwolono mu chodzić z tym przewodnikiem po mieście, którego widok w zachwyt wprawiał młodego rycerza. Ojciec Gosbert zajmował się tymczasem wielkiem dziełem. Dary we złocie, jakie poselstwo Bolesława przywiozło z sobą, nieco ułatwiały trudne zadanie, bo skarb wojną z Muzułmanami był wyczerpany; lecz wkrótce dowiedział się Ojciec Gosbert, iż o żądaniu króla Polan wcześnie znać dano do Rzymu, a cesarz się sprzeciwia przesłaniu korony.

Sam nie ważąc się na wyjednanie żądanej korony u Papieża Benedykta, Ojciec Gosbert posłał innych na zwiady, powoli toczyły się rozprawy, o środkach, jakich używać trzeba było aby dość do celu. Wreszcie po długich umowach udało się Benedyktynom, mającym wielki wpływ u Papieża, wyprosić, iż się skłonił do namaszczenia i poświęcenia korony dla króla Bolesława.

Właśnie gdy już załatwionem było, przybył do Rzymu Ojciec Romuald wraz z Andruszkiem, których przebiegły Opat Aron w następującym przysłał celu. Jadąc z powrotem ,mieli rozdzielić się i oprócz namaszczanej korony, drugą wieść fałszywą, aby nią oszukać na tę zdobycz czatujących. Ta mniemana korona dla większej pewności pójść miała przodem, tak, żeby wpadła w ręce cesarskiej straży, która zadowolona zdobyczą jużby na przewiezienie drugiej nie zważała. Zaraz nazajutrz po uroczystem poświęceniu korony przez Ojca św., O. Romuald i Andraszka w oczach mnogich świadków ruszyli ze znaczniejszym pocztem z fałszywą koroną.

Potem dopiero w dni kilka potajemnie wyjechać miał O. Gosbert z Jurgą, wioząc swą koronę poświęconą, przeznaczoną do uwieńczenia skroni Bolesława. Wszystko się stało jak obmyślono.

Pierwszy poczet przebył Włochy bezpiecznie. Lecz skoro tylko wstąpił na granicę Niemiec, otoczyła ich zbrojna gromada ludzi, którzy ich do najbliższego zaprowadzili zamku i tam przetrząsając juki, z radością wielką znaleziono koronę. Natychmiast wysłano gońca na dwór cesarski z oznajmieniem o świetnej zdobyczy. Ojciec Romuald i Andruszka zostali znów zamknięci w więzieniu.

Tymczasem Ojciec Gosbert i Jurga przekradali się ostrożnie przez lasy i manowce nocami i rankami, wśród burz i słoty, aż wreszcie dostali się szczęśliwie poza Łabę. Tu byli już jak w domu. Jurga chcąc królowi prędszą sprawić radość, najzręczniejszego z pachołków wyprawił przodem do Poznania z uwiadomieniem o szczęśliwym powrocie.

Na dworze królewskim wielkie przez ten czas zaszły zmiany. Bolesław namawiany przez kilku grafów niemieckich skłonił się wreszcie do zaślubienia Ody, która przybyła tryumfująco z wysłanem po nią świetnem poselstwem i nie zważając na niechęć, jaką jej okazywał Mieszko i dumna żona jego Ryksa, wkrótce zawarła związek małżeński ze starym królem. Bolesław nie mógł spokojnie używać słodyczy miesiąca miodowego, bo niepokój o poselstwa dręczył go nieznośnie. To też na wieść, iż Ojciec Gosbert z Jurgą przybywa z koroną, radość niezmierna powstała na całym grodzie.

Król po krótkim namyśle udał się do katedry i tam przed wielkim ołtarzem u grobu ojca stanął, jakby z duchem jego dzielić się chciał wielką radością.

W dniu, gdy korona upragniona nadejść miała, wysłano poczty naprzeciw posłom, co ją wieźli, aby z przynależną wspaniałością wprowadzoną była i złożoną na ołtarzu, dopókądby do Gniezna nie była przywieziona, gdzie koronacja odbyć się miała z wielką uroczystością.

Gdy się to działo w Poznaniu, na dworze cesarza niemieckiego i arcybiskupa magdeburskiego panował wielki gniew, gdy się przekonano, iż mimo wszelkie zabiegi Bolesław osiągnął koronę. Nie mogąc nic uczynić więcej, mszczono się na niewinnych i trzymano w srogiem więzieniu Ojca Romualda i Andruszkę. Ale król Bolesław dowiedziawszy się teraz dopiero, jak wielką ponieśli dlań ofiarę, posłał wielką sumę złota ubogiemu baronowi, który mieszkał na zameczku w pobliżu, gdzie byli ci dwaj wierni jego słudzy uwięzieni. I ten nadszedł w nocy z kupką ludzi więzienie, schwycił dozorców, zagroził im śmiercią i jeńców oswobodził i bezpieczną wskazał im drogę do domu.

Nim w Gnieźnie koronacja nastąpła, już i tych dwóch straconych wróciło do Poznania.

Jurga od chwili przybycia nie odstępował brata, a król obu ich obsypawszy łaskami, otaczał ojcowską troskliwością. Obaj naówczas pokłonili się panu, aby im dozwolił spocząć na ojcowiźnie.

Choć niechętnie puszczał ich Bolesław od swego boku, choć ociągał zrazu zezwolenie, w ostatku zgodził się, aby jechali do domu.

Dowiedziawszy się o tem Andruszka, uczuł, że mu przybywa sił, które stracił w srogiej niewoli tak, że na konia siąść nie mógł. Jurga, któremu król przyobiecał wyprawić sute wesele ze Sieciechówną, szczęśliwy jechał wyściełać gniazdo.

Zakończenie.

Król Bolesław nie długo cieszył się koroną. Choć w kraju panował spokój, nie było go w domu. Ryksa

i Oda, ciągłemi niesnaskami zatruwały mu życie, wreszcie po krótkiej chorobie umarł roku 1025.

Z wielką wspaniałością pochowano go obok ojca w katedrze Poznańskiej. Zbiegł się kraj cały na pogrzeb króla, który trzydzieści i kilka lat ciężkiego trudu poświęcił utworzeniu państwa, które przez wiele wieków istnieć miało w świetności.

Żal był w całej Polsce ogromny. Przez rok trwała żałoba i żadnych nie wyprawiano wesołości. Bo też ze zgonem jego pokój, wesele, na długo ustąpiły z Polski.

Królowa Oda zabrawszy z sobą skarby wielkie, powróciła do ojca. Postać starszego syna Bolesława Wielkiego, Bezpryma, znika zupełnie w pomroce dziejów. Niektórzy tylko historycy utrzymują, że po śmierci ojca udał się do Węgrów i wpadłszy z nimi do Polski, osięgnął tron na czas krótki, lecz zrzucony z niego zakończył życie, jako zakonnik pod imieniem Ojca Lamberta.

* * *

O losach braci Jaksów nie wiele nam dopowiedzieć wypada. Z ciężkiej próby młodości, gorzkiem doświadczeniem zahartowani, stali się mężami dzielnymi, godnymi przodków.

Andruszka, któremu życie spokojne na wsi nie smakowało, puścił Jurdze całą ojcowiznę, a sam powrócił do pancernych, do życia wojskowego, do którego był nawyknął.

Jurga ożeniwszy się z Sieciechówną, osiadł w Jaksowych borach, ale i ten choć szczęśliwy w domu, ziemianinem spokojnym długo być nie umiał.

Gdy po długich i strasznych zaburzeniach w kraju, zasiadł wreszcie na tronie Kazimierz, wnuk Bolesława Wielkiego, Jaksowie byli pierwszymi, co stanęli przy nim, dopomagając do odbudowania w gruzy rozsypanego królestwa. Obaj też doszli do dostojeństw wielkich i majętności, a ród ich rozmnożył się później na różne gałęzie.



Dziwy we śnie.

Powiada przysłowie, że: „sen mara — Bóg wiara" — nauka zaś twierdzi, że sen jest powtórzeniem doznanych przeżyć w życiu, odbiciem tego, co się poprzednio widziało. Wielu ludzi ma wielką wiarę w sen każdy — to jednak niema uzasadnienia, bo są czasem sny całkiem głupie, albo są tem samem co się we dnie przeżyło. Wielu nie daje żadnej wiary snom. Do tych ostatnich i ja należałem.

Opowiadała mi pewna matka, że miała taki sen. Śniło jej się, że jej córka jedynaczka nagle umarła, że nieśli ją na cmentarz ruski, choć ona była Polką, że miała trumnę ozdobioną kwiatatmi i t. p., jednem słowem, że we śnie przeżyła ta matka cały pogrzeb swej córki, widziała dużo znajomych osób, i t. p. W czasie tego snu, jakby na rzeczywistym pogrzebie — bardzo płakała. Płacz był ten tak silny, że obudziła nim swoją córkę, która obudziła matkę i cały ten ciężki sen przerwała. Nie wierzyłem w to opowiadanie, a co powiecie — za dwa tygodnie sen ten dosłownie się spełnił. Córka zachorowała nagle na anginę, umarła, a ponieważ matka pragnęła mieć jej grób blisko wsi; a w całej wsi był tylko cmentarz ruski, więc plac kupiono, i na tym cmentarzu ją pochowano.

Będąc jeszcze małym chłopcem miewałem często sny dziwne, śniły mi się wojny, pożary jakieś wielkie latające ptaki, nieznane a straszne wojska, że wojna tu na polach mej wioski się odbywała, widziałem nawet osoby w niej udział biorące a co ciekawsze, że nawet z jednej rodziny synowie walczyli przeciw sobie. Uważałem te sny za wybujałą wyobraźnię skutkiem czytania powieści wojennych, a jednak gdy przyszła wojna światowa, następnie polsko-ukraińska, to sny te sprawdziły się dosłownie. Takie bitwy, wojska a latawce zastąpiły mi te dziwne ptaki.

To zmieniło moje zdanie o snach. Podczas inwazji naszej wsi i całej części kraju przez Moskali byłem wprost tym faktem, że Moskal odwieczny wróg Polski rządzi nami, do szaleństwa zdenerwowany. Chodziłem jak struty, widząc różne wybryki Moskali, tembardziej desperowałem, nieraz całemi nocami przemyśliwałem nad tem, czy i jak się to wszystko skończy. Modliłem się nieraz o gorszą wojnę, by wszystkich Moskali do nogi wybito, modliłem się, by Austrja zwyciężyła i zagarnęła całą Polską i byśmy razem Moskali bili, jednem słowem desperacja moja była tak wielka, że spochmurniałem, zmizerniałem, a całe noce czuwałem. Pewnej nocy zimowej śniło mi się, że widziałem, jakoby uciekających Moskali a zakonnika coś jakby św. Antoniego ich goniącego, sen był krótki, ale wyraźny. Coś jakby jakie natchnienie, tak głębokie przekonanie weszło do mej duszy. Nie mówiąc o śnie nikomu, zacząłem się gorąco modlić do św. Antoniego o uwolnienie kraju od Moskali. Byłem tak pewny tego, że tak powiem, spełnienia snu cudownego, że gdy Moskale zdobyli Przemyśl, ludność szczególniej polska ogromnie desperowała, ja w rozmowie ze znajomymi a nawet miejscowym proboszczem ks. P. przekonywałem ludzi, że się to zmieni, Moskale przegrają, a najdłużej jak do św. Antoniego (13 czerwca) pobędą. Skoro Moskale szli na Węgry, a następnie nagle z Karpat uciekli i front w pierwszych dniach maja niedaleko mej wsi, a nawet w tej wsi, gdzieśmy dawniej do parafji należeli, a gdzie był ołtarz św. Antoniego, założyli, zacząłem się cieszyć, że już wnet a napewno na św. Antoniego uciekną. Proboszcz z tej wsi, uciekł do naszej wsi i przebywał u naszego ks. proboszcza. Martwił się swem wygnaniem bardzo, bo i tu musiał dużo od Moskali cierpieć. Chodziłem prawie codziennie do księdza. Pewnego razu nasz ksiądz przedstawił mnie w żarcie jako tłumacza snów. Wówczas ksiądz tamtejszy rzekł:

— No kiedy tak, to proszę mi powiedzieć, kiedy ja wrócę do swej parafji?...

Pytanie było jasne.

— Na św. Antoniego, ksiądz proboszcz już mszę św. odprawi w swoim kościele.

Nikt sobie mego zdania nie brał na serjo, ale utkwiło ono obecnym w pamięci. W przeddzień święta 12 czerwca, przyszły wieści, że nie Moskale, ale Austrjacy się cofnęli. Przemawiało za tem i to, że wojsko i tren stojący w naszej wsi, wyjechał do następnej. Moskale byli nawet czemś ucieszeni. Popołudniu byłem jak zwykle u księdza. Zaraz na wstępie zapytuje mnie ks. P. ironicznie trochę:

— Na którego św. Antoniego Moskale uciekną? Zły to prorok z ciebie?

— Jutro — odrzekłem — jutro ks. odprawi mszę św. w swoim kościele.

— No a jakże to, kiedy nie Moskale, ale Austrjacy się cofnęli?

— Tak mówią — rzekłem — ale Wszechmoc Boża nie zna granic, jutro Moskale mogą być pod Lwowem.

Na tem się skończyła nasza rozmowa, bo oficer, Moskal, wszedł do pokoju. I co się stało. Cud — tak niespodzianie Moskale uciekli, a już o godzinie 6-tej rano austrjackie wojska były we wsi. Ksiądz P. głośno mówił o mojem „proroctwie", a ks. z R. poszedł i rzeczywiście jeszcze rano mszę św. odprawił w swoim kościele.

Będąc w wojsku austr. na froncie rosyjskim bez przerwy kilka miesięcy, taka tęsknota niespodziewana ogarnęła mą duszę, że codzień prawie myślałem o tem, kiedy przyjdę do domu swego. Kiedy się dla mnie ta męka, ten trud wojenny skończy. Pytanie to, na które ani ja, ani moi koledzy nie znaleźli odpowiedzi, stało się moją chorobą, moim codziennym tematem rozmyślań. Pewnej nocy, w czasie snu i to wojennego 1—3 godzinnego, zdało mi się, że ujrzałem bociany lecące, w powietrzu. I ja zerwałem się i niby powietrzem, niby skradając się jak złodziej, uciekałem do domu. Czas był ranny wiosenny, pachniały trawy i zboża do życia z pod snu zimowego wstające, a ja już znalazłem się na ścieżce do swego domu, po drodze spotkałem dwie dziewczyny znajome i oglądałem żyto na pewnym kawałku pola, że czułem się szczęśliwy tak poczynałem śpiewać z radości. Krzyk „auf" przerwał mój sen. Zapomniałem o tym śnie, bo inny wedle mego zdania był ważniejszy, śniło mi się bowiem później, że byłem w tłumie wielkiego wojska, na szerokiem polu zasianem różnemi zbożami, dzień był gorący, z obu stron tej równiny paliły się wsie, wrzała bitwa. Huk armat, trzask karabinów, grzechot „maszynek" krzyk rannych, atak konnicy, były tak jasne, tak rozumnie prowadzone, jakgdyby to nie był sen. Gdy już obie linje wojsk zbliżały się w ataku do siebie, zjawił się nagle, ogromnej wielkości, niby generał, niby rycerz średniowieczny, niby biskup jakiś, z infułą na głowie i pastorałem w dłoni, i jak huragan wpadł pomiędzy obie strony i rozpędził je daleko od siebie, a mnie z wielu innymi kolegazabrał ze sobą w drogę. W drodze jednak znikł, a ja niby to do domu, niby gdzieś daleko szedłem z zupełnie nieznanemi ludźmi. Snu tego nie mogłem sobie wytłumaczyć. Czy moja śmierć, czy koniec wojny. Po kilku tygodniach zachorowałem na froncie, poszedłem do szpitala polowego, następnie na Węgry i do Wiednia. Wracając z Wiednia do kadry, postanowiłem przed zameldowaniem się „wpaść" do domu, bo radzili mi tak starzy żołnierze, ponieważ trudno o urlop wogóle. Gdy minąłem miasto, gdzie wysiąść miałem obowiązek, zacząłem się ukrywać wśród pasażerów, między wozami, a gdy dojechałem do swojej stacji, jeszcze przed stacją wyskoczyłem z wagonu i przekradłem się opłotkami, by mijać posterunki, do domu. Był dzień 30 marca. Bociany rzeczywiście leciały w powietrzu. Przypomniał się mój pierwszy sen, błogo i szczęśliwie mi było, gdym już na ścieżce do swego domu się znalazł. Sen się mój ziścił — prawda — ale najdziwniejsze to, że na tem samem polu, gdzie mi się śniło, zasiane było żyto, a nikt mi o tem nie pisał, a rzeczywiście te dwie dziewczyny były pierwszemi, które spotkałem na tem „polskiem" urlopie z wojska austrjackiego.

Wobec spełnienia się pierwszego snu, ten drugi nabrał dla mnie wielkiego znaczenia. Opowiadałem o nim znajomym, kolegom, księdzu proboszczowi, ale nikt nie umiał go wytłumaczyć. Rzeczywiście ciekawy sen, odpowiadał każdy. Utkwił mi jednak w pamięci tak silnie, że dziś po dziesięciu latach całkowicie i wyraźnie w wyobraźni sobie go przedstawiam. Poszedłem w maju po raz drugi na front. Moskale rozpoczęli nową ofenzywę. Austrjacy się cofali na zachód. W czerwcu front austrjacki stanął niedaleko Kołomyi, na obszernej płaszczyźnie wśród zbóż już dość pobielałych. Stanęliśmy silnie na nowej pozycji. mi, zabrał ze sobą w drogę. W drodze jednak znikł, a ja ści w dniu 27 czerwca 1916 r. skoro świt nastał, Moskale zaczęli ogień huraganowy, kule gęsto ryły ziemię w około nas i pękały ze świstem szatańskim, trwaliśmy cały dzień w tym piekle, mając pewność, że nadejdzie rezerwa. Tymczasem na drugi dzień 28/6 ogień się wzmógł do najwyższego stopnia, okopy nasze stały się jego pastwą, artylerja nasza umilkła, ranni coraz częściej wołali o pomoc, około 10-tej ćma Moskali, Kozaków i Czerkiesów ruszyła do ataku, rezerwa nasza zawiodła. Z obu stron równiny gorzały wsie jak wulkany, coraz to więcej trawiąc domów, mając ku temu suchy dzień i wiatr pomyślny. Na odparcie ataku Moskali nie było sił i czasu, wpadli w nasze okopy jak psy wściekłe, jednych pokłuli spisami, innych zabrali do niewoli. Wśród „plennych" znalazłem się i ja ze swoimi i nieswoimi kolegami. Wojna dla mnie się skończyła, sen się mój spełnił. Nie było tylko tego biskupa, czy rycerza. Prawda nie był widziany okiem ciała, ale był. W dniu tym przypada św. Leona papieża, który pochodził z rycerskiego rodu. Czyż nie dziwny to sen. Narazie tyle, o innych opowiem w innej pogawędce.

J. K.

Do polskiej dziewicy!

Choć na Cię spadną ciosy, jakby fale,
choć świat wyśmieje Twoje łzy i żale,
pomnij, że to Bóg zsyła na cię kary.
Bądź cierniem wieńca ofiary!

Gdy boleść przyjdzie, a serce zapłonie,
spłynie zdrój słodki na zatrute skronie.
Gdy się rozjaśni po ciemnej zawieji,
bądź świeżym kwiatem nadziei.

Popatrz w Twe serce, gdy tam niema plamy,
ciesz się i wesel, boś ty z Cherubami,
i w białej szacie z promienistem czołem
bądź jasnej cnoty aniołem.

Uzbrój się w miłość, nadzieję i wiarę,
czy spełnisz kielich szczęścia, czy goryczy czarę
i idąc zawsze czystem życia torem,
bądź polskiej dziewicy wzorem!

Bądź jasną, czystą, jak niebiańskie kwiaty,
chociażbyś poszła daleko — za światy...
Strzeż niewinności, co Ci dźwięczy w łonie
bądź perłą w Marji koronie.

Maryśka.

W DRODZE DO ŚLUBU.

Miała oczka, jak tarnie, usta kieby maliny... Każdy do niej się garnie — do rusałki dziewczyny. Każdy radby uścisnąć wiotką kibić dziewczęcia, na jej szyji zawisnąć i wziąć w swoje objęcia.

Przebierała rok cały, aż wybrała nareszcie. Więc wnet skrzypki zagrały na wesele, na szczęście! I ruszono ogniście do wiejskiego kościoła w druchen wiejskich asyście i młodzieńców dokoła.

Zagrał skrzypek, a basy wtórowały mu echem. Krzeszą chłopcy w obcasy, gwarzą starsi z uśmiechem. Zaprzężone do bryki ognia dają z podkowy dwa bieluśkie koniki dla Marysi wójtowy.

Wszędzie radość się ściele, brzmią ucieszne rozgwary, bo to dzisiaj wesele najpiękniejszej jest pary.

Hejże, hejże, hej dana! Rżnie muzyka od ucha. Żyjże paro kochana i w miłości krzep ducha! Żyj dla szczęścia ojczyzny, na pociechę dla świata! Strzeż swych ojców spuścizny... Jak najdłuższe żyj lata.

Antoni Socha.

Z TAJNIKÓW.

Żeby mi to kto powiedział
Ot tak, z serdecznej prostoty,
Czy śmierć, wieczny życia przedział,
Kresem doli i tęsknoty?

Czy za grobem, jak cień wierny,
Ból się za mną będzie snował
I pierś dłutem razu kował
Z ogrom udręki niezmiernej?

O, żeby też kto wygładził
Zamyśleniem zryte czoło
I tajemnic sekret zdradził
I w uciszeń zawiódł sioło.

Jan Baranowicz.



Smutna dziewczyna.

Hej! kwiaty wy cudne, jedyne,
Czy znacie tę smutną dziewczynę,
Czy wiecie, jak w życia rozterce
Rozdarło się biedne jej serce?

Otoczcie ją słodką swą wonią!
Niech wasze dzwoneczki jej dzwonią
Melodję spokoju i ciszy!
Dziewczyna ją smutna usłyszy
I w serce swe weźmie jak leki...

Powróci wnet spokój daleki
I dziewczę po życia rozterce
Uciszy zbolałe swe serce.

A. M.



Oficery przy wojsku koniecnie chcieli nas zachęcić do wojacki, więc prawie codziennie kazowali grać muzyce: „Jak to na wojence ładnie!"i inne śpiwki, aby my ino śli prać Moskala, co się wlizie. Ale mnie się to jakosik nie widziało, więc padam do jednego z nich:

— Panie oficer! Kiedy to tak na wojence ładnie, to cemu pan na nią nie idzie, ino co wiecora łazi pan do ty synkarki, co przy ulicy Gołej ma sklep i inne rzecy?

A oficer na to:

— Bo widzis, ja to co innego! Ja końcyłem gimnazyje, študerowałem na takiego, co to moze się na świecie przydać. Ja mogę być sędzią i prefesurem, i doktorem, a i księdzem, jakby Boże broń, na to padło takze mógłbym być. A takich Maćków, jak ty, jest po całem świecie do nieszczęścia, to bez ciebie na świecie dziury nie będzie.

A ze ten oficer było to dobre chłopisko, więc mozna było z nim pogadać, nie tak, jak z innemi, którzy ino parę słów znali i to takich niekatolickich, jak morda, psiakrew, sakramencki lub skurcysynu! Tak ja padam do tego oficera:

— Panie oficer, melduje posłuśnie, cobyście mi pedzieli, kto tez jest ptrzebniejsy na świecie: ksiądz, sędzia, prefesur, cy taki chłecyna, jak ja Maciek z Psiej Wólki?

— Zbałwaniałeś pewnikiem — na to oficer — kiedy takiej prostej rzecy nie rozumies. Pomyśl sobie, jakby nie było księdza, to ktoby cię okrzcił, ktoby cię wyspowiadał, ktoby ci kiedysik ślub dał i kto pochował.

— To prawda, panie starsy — ja na to. — Ale dajmy na to, zeby takich Maćków, jak ja, nie było na świecie, to kogoby ksiądz krzcił, kogo spowiadał i komu śluby dawał? Mnie się zdaje, ze ksiądz potrzebny, ale ja jesce potrzebniejsy.

— No niechby, ale przecie nie powis, ześ ty potrzebniejsy od profesura! Pomyśl se, jakby nie było skół i profesurów, toby ludziska byli takie głupie, jak barany i wszyćkoby było na nic.

— Pewnikiem! No ale wtedy musieliby se załozyć parową fabrykę dziecek, lub je sprowadzać z Hameryki. Ale nie to chciałem powiedzieć. Tylko melduje pokornie, ilu tez prefesurów było w raju i cy oni ucyli Adama i Ewę, co mają robić, aby był Kain i Abel. Mnie się widzi, ze różne rzecy na świecie same przychodzą z siebie i potrzeba naucy nieraz więcej człowieka, niz najlepsy prefesur. A jakby nas Maćków nie było na ziemi, ciekawym, cyby najlepsy prefesur jaką wirzbę lub lipę choć styrech słów gadać naucył.

— No zreśtą ksiądz i prefesur to ino taka omasta w tych wszyćkich zawodach, jakie są na ziemi. A wiadomo przecie, ze i bez omasty samą jałowizną człek zyć potrafi. Ale przecie przyznas, ze nad chłopa to potrzebniejsi sędziowie, którzy ludzi przy procesach godzą, potrzebniejsi adwokaci, którzy tych ludzi bronią, potrzebniejsi nizijerowie, którzy budują drogi i koleje, potrzebniejsi doktorzy, którzy nie dają ludziom prędko skonać, potrzebniejsi fabrykanci, którzy wyrabiają najróżnorodniejse rzecy, a choćby i ci rzemieśnicy, którzy nam sporządzają najpotrzebniejse graty do roboty i przyodziwy. Pomyśl se sam, jakieby to zycie było jałowe, gdyby tych ludzi nie było na świecie! I przyznas chyba, ze są oni potrzebniejsi, anizeli ty.

— To prawda — ja na to, ze są oni bardzo potrzebni i świat ten bez nich byłby bardzo jałowy, ale mnie się takze widzi, ze jakby nie było chłopa na świecie, toby i świata samego nie było. Bo kogoby ksiądz krzcił, a prefesur ucył, kogo sędzia sądził, a kogo doktór na tamten świat posyłał, la kogoby szewc buty robił a krawiec portki. A co juz najważniejse, to ktoby tych wszyćkich ludzi chował i zryć jem dawał, gdyby chłop swoją krwawicą z ziemi zimiaków nie wydar i ziarna im na chleb nie umłócił?

— Ogromny z ciebie filozof! Ale i tak na front pójdzies, bo taki befel i na to ni ma rady.

— Cy pójdę, to się jesce pokaze! Ale choćbym i posed, to jesce jeden dowód, ze bez chłopa się nie obejdzie. Bo jakby się obesło, to kiedy się cysarze pognіwali na siebie, to niechby się ze sobą sami prali. Ale to, Boże odpuść, takie niedorajdy, ze nawet i takiej łatwej rzecy nie potrafi ino się ze wszyćkiem na chłopa spuscają. Jakby ja był cysarzem, tobym o pomoc nikogo nie prosił, ale lunął raz w lewo, raz w prawo i byłoby wnet po harapie!



Dumka.

Idą maszyny, ziemia dudni...
W olbrzymich halach dym i swąd,
Ludziska osmoleni, brudni,
Warkocze ciężkich maszyn rząd.

Mkną bezustannie rozgwarzone
Nad niemi mknie elektro kran
Dumki się budzą rozognione
I w ogniu kreślą czarów tan.

Szemrzą maszyny, w których świta
W pochodzie jasny dzień,
Koluma płynie ognia syta
Pod młot, i rzuca jasny cień.

Gwiazdy migocą brylantowe,
Fabryczny olbrzym pieśnią łka,
Spadają krople rubinowe,
A myśl do świątyń Bożych gna...

I tam się modli u ołtarzy,
Na chwałę wznosząc pracy hymn,
A olbrzym bezustannie gwarzy,
Po ziemi ścieli kurz i dym.

I dumki płyną robotnicze
W gwiazdami rozświetloną dal...
Zwierzając jakby powiernicy
Swój bezustanny twórczy żal.

Donat Lesiowski.

Wśród puszcz i stepów.

Pochód gromadki wędrowców trwał bez przerwy do samej północy. Chociaż księżyc świecił, w lesie pomiędzy drzewami prawie zupełne ciemności zalegały, nie łatwe więc było zadanie w takich warunkach kierować się wśród puszczy. A jednak wódz Osagów ani razu się nie zawahał, nie okazał najmniejszej niepewności. Czasem tylko wzrok badawczy podnosił do gwiazd, lub wprawną ręką dotykał kory drzew, rozpoznając na niej różne znaki, niewidzialne w nocy.

— Ojciec mój dalej iść nie może, musi koniecznie zatrzymać się choć na godzinę — powiedział Orzeł czubaty, nie uszło bowiem jego uwagi, że Wattson ostatnich sił dobywał i ledwo nogami włóczył.



Widok był straszny.

— Nie, idźmy dalej, niema czasu do stracenia — odrzekł osadnik, którego obawy wzmagały się z każdą chwilą.

— Ojciec mój zupełnie siły wyczerpie, a kto wie, czy nie będą mu potrzebne, gdy dzień nastanie.

— Orzeł czubaty ma słuszność — odezwał się Jan — jak wypoczniemy trochę, to potem śpieszniej będziemy mogli iść dalej i wynagrodzimy czas stracony.

— Niechże i tak będzie — westchnął Wattson i mówiąc to, osunął się ociężale na trawę.

Na znak wodza Indjanie nazbierali suchych gałęzi i po chwili wesoły ogień zapłonął i rozjaśnił ciemności dokoła naszych wędrowców.

Wódz Osagów przez cały czas siedział przy ognisku, głęboko w myślach pogrążony. Sen ani na chwilę powiek jego nie zmrużył. Ale gdy zaświtało powstał, zbliżył się do starego Wattsona i za rękaw go pociągnął.

— Mój ojciec wstawać już musi — rzekł miękkim, łagodnym głosem. — Słońce zaraz ukaże się na niebie, świat cały się budzi. Czy ojciec mój słyszy?

Osadnik zerwał się szybko i przetarł oczy.

— Janie wstawaj! — zawołał Wattson, potrząsając śpiącego syna.

Jan zerwał się śpiesznie na równe nogi.

— Co tu tak przyjemnie pachnie? — zapytał, wciągając z upodobaniem powietrze w nozdrza.

— Wojownicy moi upiekli kawał zabitej przezemnie zwierzyny — odpowiedział wódz — niechże ojciec i brat mój posilą się nieco, zanim puścimy się w dalszą drogę.

Pieczeń jelenia, zawieszona nad ogniem na kiju drewnianym, miała rzeczywiście woń niezmiernie pociągającą. Ojciec i syn nie dali się długo prosić, a posiłek ten przydał się bardzo na zgłodniałe żołądki.

Śniadanie to niewiele czasu im zabrało. Gromadka wędrowców śpiesznie wyruszyła w dalszą drogę i około ósmej zrana przybyła do pięknej kotliny, gdzie po obu stronach wznosiły się niezbyt wyniosłe wzgórza.

— Teraz już wiem, gdzie jesteśmy! — zawołał Wattson — znam tę dolinę i trafię stąd do domu.

— To dobrze — rzekł wódz Osagów — ojciec mój i brat dadzą sobie radę sami, a Orzeł czubaty pójdzie w swoją drogę.

Pożegnanie krótko trwało, lecz w ostatniej chwili wódz Osagów zatrzymał się, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć.

— Czy syn mój życzy sobie czego? — spytał Wattson.

— Orzeł czubaty byłby bardzo szczęśliwy — rzekł młody Indjanin cichym i wzruszonym głosem — gdyby mógł usłyszeć imię pięknej córki mojego ojca, podobnej do polnego kwiatka.

— Córka moja nazywa się Ella.

— Ella! co za ładne imię. Niech mój ojciec wybaczy tę ciekawość.

I pomknął śpiesznie za swoimi wojownikami, którzy go już znacznie wyprzedzili. Wkrótce Indjanie znikli z oczu Wattsonów, oglądających się za nimi.

Osadnicy szli dość długo w milczeniu, gdyż stary Wattson popadł znów w posępne zamyślenie. Jan po niejakim czasie usiłował go rozerwać i rozpoczął rozmowę o myśliwstwie, gdyż wiedział, że najprędzej w ten sposób oderwie myśl ojca od smutnych przeczuć.

Rozmowa ta nie przeszkadzała im pośpieszać o ile tylko mogli, a im więcej się zbliżali do celu, tem większy niepokój dręczył starego Wattsona, tem niecierpliwiej spoglądał w stronę, z której ukazać się miał dach osady. Około dziesiątej zaczęli wchodzić na grzbiet jednego z większych wzgórków, opasujących malowniczą dolinę, w której mieściła się ich siedziba. Nagle osadnik stanął, przysłonił oczy, serce jego uderzyło gwałtownie.

— Nie rozumiem, co to może znaczyć — rzekł po chwili drżącemi usty — zdaje mi się, że widzę ogromny słup dymu. Popatrz-no ty, Janie.

— W rzeczy samej — potwierdził młodzieniec, i wyraz przestrachu pojawił się na jego twarzy, lecz zapanował nad sobą i dodał spokojniej — Jerzy i Tobiasz musieli ogień rozpalić na polu.

— Ze zwyczajnego ogniska nie powinnoby być tyle dymu — mówił ojciec i z nadzwyczajnym pośpiechem, biegnąc raczej niż idąc, zdążał na sam wierzchołek wzgórza, skąd roztaczał się widok rozległy na całą dolinę. Obaj stanęli tam wkrótce, bo i Jan za ojcem pośpieszył.

— O Boże wielki!... Co to jest?! — wykrzyknął Wattson. Głos jego rozległ się po lesie, brzmiała w nim rozpacz najwyższa. Jan milczał, lecz pobladł

strasznie, nogi się pod nim zachwiały, drżał cały od stóp do głowy.

Widok, który się oczom ich przedstawił, był w rzeczy samej przerażający. Na miejscu, gdzie stały budynki osady, pozostały tylko zgliszcza, z których się unosił ów ogromny słup dymu. Dokoła walały się po ziemi szczątki zniszczonej i połamanej palisady.

— Boże, Boże, co za nieszczęście! — wołał Jan, załamując ręce.

Lecz stary Wattson zerwał się i z takim pośpiechem zbiegł ze wzgórza, że zapomniał o strzelbie, która mu się z ramienia zsunęła i padła na trawę. Podniósł ją Jan i za ojcem podążył. Doszli wkrótce do miejsca, gdzie wczoraj jeszcze była spokojna siedziba szczęśliwej rodziny, a dziś dopalały się smutne zgliszcza.

Jakób Wattson jak szalony zaczął się uwijać pośród tych dymiących, a gdzieniegdzie i płonących jeszcze szczątków. Nie zważał na to, że go dym dusił, stąpał po węglach żarzących, które mu paliły obuwie, z trwogą śmiertelną szukał jakiegoś śladu ukochanych swych dzieci, powtarzał ich imiona, jak gdyby sądził, że je przywoła, lub dowie się, co się z niemi stało. Lecz echo tylko mu odpowiadało, a nieszczęliwy człowiek padał na ziemię, rwał włosy z głowy, potem znów twarz ukrywał w dłoniach i szlochał. Jan próbował przemówić do ojca, lecz głos mu w piersi zamierał i łzy go dławiły. Był on niezmiernie przywiązany do młodszego rodzeństwa; Ellę szczególnie kochał niezmiernie, bo też wszyscy kochali dobrą i śliczną dziewczynę.

— Ojcze! — zawołał w końcu — może to był pożar przypadkowy, wskutek jakiejś nieostrożności. W takim razie Ella wraz z braćmi i ze sługami musiała się ukryć w lesie; kto wie, czy ich nie zobaczymy za chwilę zdrowych i całych.

— Patrz — rzekł krótko ojciec i wskazał mu liczne ślady nóg bosych, odciśnięte w miękkiej, wilgotnej ziemi na dziedzińcu. Jan umilkł i westchnął głęboko.

— Niema żadnej nadziei, wszyscy zginęli — mówił nieszczęśliwy ojciec z rozpaczą — a ciała ich spaliły się zapewne. Okrutnicy nawet tej ostatniej pociechy mi nie zostawili, abym mógł martwe szczątki moich ukochanych oglądać i uczcić pogrzebem. Ach, Janie! przeszukajmy te zgliszcza, może ciała nie spłonęły jeszcze do szczętu, może choć ślad jaki odnajdziemy.

Mówiąc to, chwycił żarzącą się belkę i z siłą olbrzyma na bok ją odrzucił. Jan mu dopomagał i obaj pracowali tak gorliwie, że pot dużemi kroplami ściekał im z czoła. Jan spostrzegł motykę, rzuconą na podwórzu; była to ta, z którą Tobiasz z pola powrócił. Młodziniec użył jej do rozrzucania węgli rozpalonych, wkrótce jednak drewniana rękojeść motyki zaczęła się palić i musiał ją gasić w strumieniu, ale i to nie na długo pomogło. Wkońcu ojciec i syn przekonali się, że daremnie sobie trudy zadają, gdyż niepodobna było rozrzucić takiej masy rozpalonego drzewa.

— Możeby wodą zalać zgliszcza — rzekł ojciec i pobiegł do strumienia, lecz wnet spostrzegłszy, że nie ma żadnego naczynia do nabierania wody, powrócił z opuszczonemi rękoma. Jan zbliżył się i znowu próbował rozpacz ojca ułagodzić, wlać jakąś nadzieję do jego serca.

— Nie mamy jeszcze żadnych dowodów na to — mówił — że Ella, i bracia, i Jerzy z Tobiaszem nie żyją. Wszak mogli umknąć, schronić się do lasu, a w najgorszym razie mogli ich Indjanie wziąć w niewolę i uprowadzić.

— Ach, Janie! to rzeczywiście jest możliwe — odrzekł osadnik i czoło zimnym potem okryte oparł na dłoni. Natychmiast przetrząśniemy całą okolicę, może ślad jaki ukochanych naszych wykryjemy.

I osadnik, jak stał, tak pobiegł prosto przed siebie.

— O! gdybym ich teraz napotkał — rzekł Jakób Wattson, zgrzytając zębami — krwią by mi swoją zapłacili.

Doszli wkrótce do skraju lasu. I tu tak samo, jak na polach, otaczających spalone mieszkanie, cicho było i pusto. Postępując ciągle brzegiem lasu, doszli wreszcie do miejsca, gdzie Indjanie wieczorem pochwycili biednego Jerzego i niezwłocznie zamordowali; trupa jego, leżącego tam i teraz, spostrzegł pierwszy Jan, a na okrzyk grozy, jaki się z jego piersi wyrwał, nadbiegł wnet i ojciec.

— Jerzy! zamordowany, oskalpowany! — zawołał z boleścią.

— Niestety! — potwierdził Jan.

— Ten sam los okrutny musiał spotkać ukochane moje dzieci — jęknął osadnik.

— Nie traćmy jeszcze wszelkiej nadziei, ojcze — pocieszał Jan, usiłując powstrzymać łzy, gwałtem cisnące mu się do oczu.

— Idźmy stąd, idźmy! — wołał Jakób Wattson.

— Pozwól mi, ojcze, pogrzebać biednego Jerzego — rzekł Jan.

Jan pośpieszył po motykę, którą przy zgliszczach zostawił, a ojciec zapuścił się w pobliskie gąszcze leśne. Raz po raz wołał głosem donośnym, lecz zawsze napróżno. W kwadrans nadbiegł Jan, w jednej ręce trzymając motykę, a w drugiej mały jakiś przedmiot, który w palcach ściskał.

— Ojcze, ojcze! — wołał głosem, rozlegającym się daleko po lesie.

— Jestem już, jestem! — odpowiedział osadnik i zbliżał się szybkim krokiem, zdyszany, z oczyma błyszczącemi wzruszeniem nadzwyczajnem.

— Czy poznajesz? — zapytał drżącym głosem, ukazując synowi mały nożyk.

— To nożyk Elli — rzekł Jan zdziwiony — a czy poznajesz to, ojcze? — i pokazał mu czarną, wązką aksamitną tasiemeczkę, którą trzymał w ręku.

— Wielki Boże! tę aksamitkę ona zawsze na szyi nosiła! — wykrzyknął osadnik, chwytając tasiemeczkę z rąk syna — skąd ją masz, gdzie ją znalazłeś?

— Niedaleko stąd w lesie, a ty, ojcze, gdzie znalazłeś nożyk?

— Pod krzakiem, tuż przy miejscu, gdzie las jest rozrzedzony i mnóstwo śladów kopyt końskich widać na ziemi.

— Ojcze, te odkrycia mają dla nas nadzwyczaj ważne znaczenie.

— Być może, nie śmiem jednakże budować na tem jakichś nadziei.

— Ależ zastanów się, ojcze, toż jest jasne, jak dzień. Ella z Benem i Dikiem niezawodnie znajdują się w niewoli u tych przeklętych czerwonoskórych. Skądżeby się ten nożyk i ta tasiemeczka wzięły w lesie? Ella sama zapewne rzuciła pokryjomu te przedmioty, ażebyśmy je znaleźli i pomyśleli o wyswobodzeniu jej i braci.

— O, gdybyż to było prawdą!

— Mnie się zdaje, że tu niema najmniejszej wątpliwości.

— Mogli Indjanie zabrać nożyk i wstążeczkę wraz z innemi rzeczami, gdy rabowali mieszkanie, a potem zgubić po drodze.

— Wszak sam mówisz, ojcze, że nie na samej drodze, tylko z boku pod krzakiem nożyk znalazłeś; widocznie więc nie był zgubiony, lecz rzucony umyślnie.

— To prawda — rzekł osadnik i w oczach jego zajaśniał promyk nadziei.

— Ojcze, my ich wybawimy z niewoli.

Jakób Wattson, pogrążony w myślach, milczał czas jakiś. Gdy podniósł głowę, twarz jego miała wyraz całkiem odmienny: znikła z niej rozpacz i straszne przygnębienie ustąpiło miejsca uczuciom zgodniejszym z wrodzonem usposobieniem osadnika, który przez całe życie z nieustraszoną odwagą narażał się na niebezpieczeństwa wszelkiego rodzaju i bez wahania podejmował najtrudniejsze zadania.

— Uczynimy wszystko, co jest w naszej mocy, aby ich uratować — wyrzekł głosem stanowczym i spokojnym prawie — bo rzeczywiście można mieć nadzieję, że żyją.

Ojciec i syn za pomocą motyki wykopali dół w ziemi, wysypali go zielonymi liśćmi i złożyli ciało Jerzego w tym ubożuchnym grobie. Odmówili pacierz, zasypali dół ziemią i położyli na wierzchu pęk ciernistych gałęzi dla odstraszenia drapieżnych zwierząt: wreszcie przewiesili strzelby i puścili się drogą śladami kopyt końskich oznaczoną.

W pół godziny później, na skraju tegoż samego lasu, lecz w innej stronie, dość daleko od miejsca, gdzie Wattsonowie złożyli zwłoki wiernego sługi, ukazał się pies duży i silny, choć niezbyt piękny. Zaczął biedz prosto ku zgliszczom osady, gdy wtem z gęstwiny leśnej ozwało się gwizdanie i przyciszone wołanie:

— Sułtan! tu, Sułtan, tu!

Po chwili wysunął się z za drzew młody chłopiec, uzbrojony w strzelbę, z rogiem bawolim, uwiązanym u pasa. Głowę miał odkrytą, oczy zaczerwienione od płaczu, a na twarzy jego malowała się boleść głęboka. Był to Dik, znany nam dobrze, najmłodszy syn osadnika. Obejrzawszy się bacznie dokoła, i on także wraz z psem skierowali się w stronę, gdzie słup dymu wznosił się z dogorywających szczątków.

— Jak to dobrze — szepnął chłopak sam do siebie — żem się w porę opatrzył przyjść tutaj i czekać powrotu ojca i Jana. Że też mi to odrazu na myśl nie przyszło! Z tego przestrachu zupełnie głowę straciłem. Teraz tu sobie gdzieś usiądę i będę czekał, bo oni niezawodnie nadejdą niezadługo. Mój Boże, gdybym przynajmniej wiedział, co się stało z Ellą, z Benem, z Tobiaszem...

Pies poskoczył wesoło naprzód, a chłopiec szedł za nim ostrożnie, trzymając strzelbę w pogotowiu.

Chłopiec usiadł na kłodzie niedopalonej i zagasłej, spoglądając ciągle na wszystkie strony, czy nie dojrzy powracających ojca i brata. Smutne, bardzo smutne myśli snuły się biedakowi po głowie.

Siedział tak dość długo pogrążony w myślach. Słońce wzniosło się tymczasem wysoko na niebie i prostopadłe jego promienie spadały na odkrytą głowę chłopca.

Mijały godziny jedna po drugiej, słońce poczęło się zniżać ku zachodowi, wreszcie na krańcu widnokręgu rozciągnęła się purpurowa smuga, zwiastująca wieczór. Dik nie siedział przez ten czas na miejscu: coraz większy ogarniał go niepokój, chodził więc tu i owdzie, rozglądając się tęsknym wzrokiem na wszystkie strony. Wszystko nadaremnie, nikt nie nadchodził. Od dnia wczorajszego nic nie jadł, dotąd nie pomyślał jednak o posiłku, bowiem smutek i trwoga zagłuszyły w nim głód — teraz dopiero żołądek wycieńczony upomniał się o swoje prawa.

Podążył więc śpiesznie na pole, graniczące ze zniszczonem mieszkaniem, trafił z łatwością do grządek, zasadzonych rzepą; wyrwawszy z ziemi kilka dużych korzeni, oczyścił je nożykiem, który miał w kieszeni i zajadał ze smakiem. Posiliwszy się, powrócił na dawne miejsce przy skraju lasu. Tymczasem chmury zbierać się poczęły i zasłoniły księżyc. Tak się ciemno zrobiło, że Dik nie mógł dojrzeć nic o kilkanaście kroków. Niepokój go zdjął na myśl, iż nie obaczy ojca i Jana, gdyby nadeszli w nocy.

— Teraz już niema niebezpieczeństwa, mogę i tam przenocować — rzekł i puścił się w stronę zgliszczów. Lecz wkrótce stanął i nadsłuchiwał. Zdaleka odezwał się straszliwy ryk jaguara; wtórowały mu inne głosy, także niemiłe i groźne, a ten nocny chór puszczy przypomniał chłopcu, że nie ma żadnego schronienia.

— Bezpieczniej będzie wdrapać się na drzewo — rzekł znowu sam do siebie i cały drżący powrócił do lasu. Wybrał potężny dąb o grubym pniu i rozłożystych konarach. Niełatwa to była sprawa wdrapać się na takie ogromne drzewo, ale Dik był zręczny i wprawny we wszystkich ćwiczeniach ciała, wydostał się więc aż na najwyższą gałąź dębu.

Dik nie usiedział jednak długo na drzewie, noc była bardzo ciemna, nic nie widział i wnet ogarnął go taki niepokój, że rady sobie dać nie mógł.

Zlazł z dębu i pobiegł szybko ku zgliszczom. Węgle rozżarzone blaskiem swym jaskrawym zwróciły na siebie uwagę chłopca.

— Jakiż ja jestem niemądry! — zawołał, uderzając się dłonią po czole — wszakże mogę tu sobie ogień rozpalić, a ten odstraszy drapieżne zwierzęta.

Wyszukał natychmiast pomiędzy szczątkami pali sady parę płaskich kawałków drzewa, za pomocą których wygarnął trochę rozżarzonych węgli, dołożył do nich drewek suchych, których tu nie brakowało i wkrótce ognisko zapłonęło, trzaskając i sypiąc iskrami. Dik, nie mogąc usnąć, podsycał je nieustannie.

Mijały godziny jedne po drugich, było już pewnie po północy. Dik ciągle nadsłuchiwał, czy nie usłyszy kroków ojca i brata, lecz żaden odgłos nie przerywał ciszy. Uczuł wreszcie, że go sen morzyć zaczyna; usiłował się przemódz, otwierał szeroko oczy i spoglądał w przestrzeń oddaloną, która przy blaskach ogniska jeszcze ciemniejszą się wydawała. Ale powieki jego kleiły się mimowoli, jeszcze przez czas jakiś otwierał je niekiedy, w końcu zamknęły się na dobre i chłopak usnął smacznie, przytulony do Sułtana.

Już do dnia było niedaleko, gdy pies zerwał się nagle, wysuwając z pod głowy Dika miękki swój grzbiet, który mu za poduszkę służył. Chłopiec się przebudził i ze strachem spostrzegł, że drobny deszczyk, który padać zaczął, prawie zupełnie zagasił ognisko. Przytem już i drzewa zabrakło na paliwo, a przynieść nowego z lasu było prawie niepodobieństwem, bo nie miał go czem urąbać. Nazbierał jednak na ziemi suchych gałęzi, których mu starczyło na całą noc, gdyż dorzucał ich nader oszczędnie, w obawie, aby ogień nie zagasł i dla tego samego powodu nie zmrużył oka aż do rana. Nie chcąc się zapuszczać w głąb lasu po zwierzynę, poprzestał i dnia tego na rzepie.

Niepokój, trapiący serce Dika, wzrastał dnia tego z każdą godziną, z każdą niemal minutą. Sam nie wiedział, czy miał jeszcze dłużej wyglądać w tem pustkowiu ukochanych swoich, czy puścić się w drogę na odszukanie ich? Wahał się długo, nareszcie postanowił tę jedną noc tu przebyć, a nazajutrz rano, gdyby go oczekiwanie zawiodło, wyruszyć gdzie go oczy poniosą.

Noc przeszła spokojnie; zajaśniał ranek, lecz daremnie chłopak wpatrywał się tęsknym wzrokiem w oddalony widnokrąg: wyglądani z tak gorącem upragnieniem brat i ojciec nie nadeszli. Poszedł raz jeszcze na pole, gdzie rosła rzepa i nakopał jej zapas na drogę.

— Pójdę gdzie mnie oczy poniosą — rzekł wreszcie i gwizdnąwszy na Sułtana, puścił się wprost przed siebie. Na nieszczęście obrał kierunek, który go nie mógł zbliżyć do ojca i do brata, lecz przeciwnie oddalał od nich coraz więcej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Poradnik gospodarczy.

Zakładając ogród warzywny, należy ziemię odpowiednio przygotować. Trzeba więc przedewszystkiem dobrze ją znawozić i równo nawóz rozdzielić, aby go każda roślina dosięgnąć mogła. Nie należy tego czynić w zimie, gdy śnieg leży i mróz ściął ziemię, gdyż ziemia taka zakopana głęboko ze śniegiem, niełatwo taje, a grunt przez to silnie się oziębia i nie jest odpowiedni do wczesnej uprawy jarzyn. Również i mokrej ziemi nie należy przekopywać, ale poczekać, aż dobrze podeschnie. Najlepiej to robić jesienią w dni piękne i pogodne. Przez zimę bowiem ziemia, wydobyta na wierzch, dobrze się wyrobi, a zarazem przez wystawienie na działanie mrozu wyginą w niej wszelkie owady, ich jajeczka i poczwarki, jak również korzenie niepotrzebnych chwastów.

Przekopanie ogrodu wykonuje się w następujący sposób: całą przestrzeń dzieli się na pasy jednakowej szerokości. Ziemię pierwszego pasa odrzuca się na bok, kopiąc rów, głębokości żądanej od 60 cm.—1 m. W rów ten wrzuca się ziemię z następnego pasa, ale tak, aby wierzchnią warstwą poszła na spód i w ten sposób darń i korzenie zostały zakopane. Na tę warstwę daje się dobrze ugniły nawóz, lub ziemię kompostową. Następnie wyrzuca się dalszą warstwę ziemi, którą znów przykrywa się nawozem, lub ziemią kompostową, a na to narzuca się trzecią i ostatnią warstwę spodnią, która teraz dostała się na wierzch. W ten sposób postępując, zasypujemy pierwszy rów, a mamy wybrany następny na sąsiednim pasie. Tak przekopujemy cały ogród, zaś ostatni rów zawozi się ziemią wybraną z pierwszego. Przez takie przekopywanie zostaje ziemia głęboko spulchniona, dobrze wymięszana i do głębi urodzajną. Należy jednak pamiętać, by regulówkę zostawiać w stanie chropowatym.

Najuboższą w pokarmy jest ziemia, wydobyta ze spodu, która obecnie leży najwyżej. Należy ją więc z wiosną znawozić i lekko przekopć.

Korzenie roślin nie mogą w ziemi zbitej, nie spulchnionej rozrastać się swobodnie i w dostatecznej ilości czerpać pożywienia. Dlatego więc należy przeprowadzać co jakiś czas w ogrodzie warzywnym głębokie przekopywanie. Wskutek tego ułatwimy lepszy dostęp powietrza i wilgoci, a tem samem podniesiemy urodzajność ziemi.

Pokarm roślin stanowią rozmaite sole mineralne, które rozpuszczają się w wodzie, dostają się do korzeni roślin. Nawożenie gruntu ma na celu dostarczyć ziemi składników odżywczych, które wskutek wzrostu roślin zostały z ziemi wyczerpane. Przez zebranie jakiejś rośliny, wyrosłej na gruncie zabiera się z niego te składniki, które roślina zużyła do swego wzrostu, wskutek czego grunt jałowieje.

Ciekawą jest rzeczą, w jaki sposób rośliny pobierają składniki potrzebne do swego wzrostu. Korzenie roślin są pokryte drobniutkiemi włośnikami, t. zn. rureczkami, przez które roślina wciąga wodę z rozpuszczonemi w niej solami mineralnemi. Inne składniki, jak np. węgiel i tlen pobierają rośliny z powietrza zapomocą liści. Dzieje się to w ten sposób, że w dzień rośliny przyswajają sobie z wdychanego dwutlenku węgla — węgiel, a wydzielają tlen, tak bardzo potrzebny do życia ludziom i zwierzętom. Dwutlenek węgla, jest to gaz trujący, którego jest jednak w powietrzu bardzo mało, bo na 10 tysięcy litrów powietrza jest zaledwie 3 litry dwutlenku. Natomiast w powietrzu, wydychanem z płuc na taką samą ilość powietrza mamy już 400 litrów dwutlenku. Z liczb przytoczonych widzimy, jak ważną rolę spełniają w życiu naszem rośliny. Są one bowiem ogromną bezpłatną fabryką tlenu, a usuwają z powietrza dwutlenek węgla.

W nocy natomiast oddychają rośliny zupełnie tak, jak ludzie, t. zn. zużywają tlen, a wydychają dwutlenek węgla. (Ważną jest więc rzeczą, by nie trzymać w izbie, w której się śpi, dużo kwiatów wazonkowych, bo one przez noc zanieczyszczają powietrze i utrudniają śpiącym oddychanie).

Wracając do pożywienia roślin, pobieranego przez włośniki, zadać sobie możemy pytanie, czy nawóz zawiera wszystkie składniki potrzbne do życia roślin? Tak, albowiem w nawozie znajdujemy odpowiednio rozłożone części organiczne roślin, w których są już potrzebne tymże sole mineralne.

Obok nawozów naturalnych używamy również nawozów sztucznych, mających, jako części składowe pierwiastki, potrzebne do życia roślinom. Używanie jednak wyłącznie nawozów sztucznych nie jest wskazane, te bowiem nigdy nie zastąpią dobrego obornika, mającego wszystkie potrzebne składniki. Nawóz sztuczny powinien być używany jedynie jako dodatek do nawozu bydlęcego.

Ważnym jest również w kulturze roli t. zw. nawóz płynny, który działa bardzo energicznie na wzrost roślin. Otrzymujemy go przez rozpuszczenie w wodzie odchodów zwierzęcych a zwłaszcza gnojówki, lub też nawozów sztucznych (saletry).

Doskonale również do tego celu służyć mogą pomyje kuchenne, tak często u nas marnowane. Wszystkiego tego jednak powinno się używać po dokładnem sfermentowaniu w osobnej beczce. Fermentacja taka zależy od ciepłoty i trwa d 4—5 tyg. Nawóz płynny w stanie świeżym może roślinie zaszkodzić, lub ją zupełnie zniszczyć.

Jan Matysik.



Zjazd pszczelarzy w Poznaniu.

Ostatni ogólny zjazd pszczelerzy ze wszystkich dzielnic Polski odbył się niedawno w Poznaniu, przy sposobności urządzenia wystawy ogrodniczej. Na zjeździe reprezentowane były wszystkie polskie Związki i Towarzystwa pszczelarskie w kraju, przez najwybitniejszych pszczelarzy jak: Brzoskę z Warszawy, Liczbanowskiego z Poznania, Lorenza z Krakowa, Zawadzińskiego z Pomorza, Webera ze Lwowa, Piwowarskiego z Miechowa, Pawłowskiego z Rudnika, Ciesielskiego i innych. Obradom przewodniczył prezes Tow. krakowskiego p. Lorenz Józef, jednogłośnie na ten urząd powołany. Referaty wygłosili p. Lorenz na temat: „Pszczoła a Ojczyzna" i p. Pawłowski „Pszczelarstwo zagraniczne". Po referatach i dyskusji uchwalono następujące rezolucje:

1) Zjazd zwraca się do władz państwowych i samorządowych z prośbą o zakładanie szkółek drzew i krzewów miododajnych, a to celem zaopatrywania potrzebujących dla obsadzenia dróg, miedz, szkarp, nieużytków, a także drzew owocowych zakładania sadów. 2) Zjazd zwraca się do rządu z prośbą o asygnownanie funduszów na utrzymanie wojewódzkich instruktrów pszczelnictwa. 3) Zjazd domaga się w imę dobra kraju wprowadzenia do programu nauczania we wszystkich szkołach nauki pszczelnictwa i ogrodnictwa. 4) Zjazd wyraża życzenie, ażeby przy opracowywaniu podręczników szkolnych, władze szkolne zwracały się do organizacji pszczelniczych o opinję w dziedzinie pszczelnictwa, a to celem dostosowania treści ustępów pszczelniczych do obecnych warunków i do postępu. 5) Zjazd porucza Naczelnemu Związkowi Towarzystw pszczelniczych spowodowanie wydania ustawy o przymusowem ubezpieczeniu pszczół od wypadków i od chorób zakaźnych. 6) Zjazd, powołując się na uchwałę I-go ogólno polskiego Kongresu pszczelniczego, odbytego we Lwowie w 1925 r., wzywa pszczelarzy, ażeby nie importowali matek pszczelich rasy włoskiej z zagranicy, a to ze względu na obawę zawleczenia zakaźnych chorób pszczelich. Zjazd wyraża opinję, że dla doświadczeń mogą być hodowane obce rasy pszczół wychowywane w krajowych zakładach. 7) W celu zredagowania statutu, który ma być uzgodnionym wyrazem wymagań wszystkich istniejących w Rzeczypospolitej Związków Tow. pszcz. każdy Związek uchwali, najdalej do dnia 1 lipca 1927 r. na ustnem zebraniu swych delegatów, statut centralnej Reprezentacji. Wszystkie pow. Tow. pszcz., lub Kółka, które przyłączyły się dotychczas bezpośrednio do Nacz. Zw. w Warszawie utworzą swój własny warszawski Związek Tow. pszcz. Po spisaniu statutu dwa największe Związki Tow. pszcz. porozumieją się z resztą Zw. Tow. pszcz., gdzie i w jakim terminie zjadą się delegaci Zw. w celu wspólnego uzgodnienia statutu. Uzgodniony statut zostanie przez walne Zgromadzenie delegatów poszczególnych Zw. zatwierdzony. Złączone na podstawie wspólnie opracowanego statutu wszystkie Zw. Tow. pszcz. wybierą zgodnie z treścią jego paragrafów swą legalną reprezentację. 8) Zjazd zwraca się do Min. Roln. i D. P. z podziękowaniem za dotychczasowe skromne subwencjonwanie hodowli matek pszczelich i prosi o dalsze skuteczne poparcie tego w Polsce z tak wielką trudnością rozwijającego się działu hodowli. 9) Zjazd zwraca się do władz państwowych z prośbą o założenie szkoły pszcz. i zakładu bakterjologicznego dla badania chorób pszczelich. 10). Zjazd wzywa Nacz. Zw. T. P. do założenia w Warszawie Muzeum pszczelniczego.

Wiadomości polityczne.

Z sejmu. Przez ubiegły tydzień sejm nasz obradował nad budżetem na 1927/8. W sobotę odbyło się drugie czytanie budżetu i głosowanie nad nim. Podczas dyskusji posłowie stawiali wnioski o podwyższenie wydatków na różne cele, nie uchwalając na to pokrycia. Wobec tego wydatki byłyby przewyższyły znacznie dochody. W poniedziałek jednak nadwyżki owe skreślono i budżet cały uchwalono ostatecznie tak, że nadwyżka w dochodach wynosi około 4 miljony zł.

Zerwanie rokowań niemiecko-polskich. Od dłuższego czasu toczyły się w Berlinie rokowania handlowe niemiecko-polskie. Rokowania te chcieli Niemcy wyzyskać na swoją korzyść, ale gdy delegaci polscy nie ustępowali, Niemcy postanowili je zerwać. Użyli do tego błahego pozoru, a mianowicie przewodniczący delegacji niemieckiej p. Lewald, przesłał na ręce przewodniczącego delegacji polskiej Dra Prądzyńskiego notę, w której rząd niemiecki powołując się na wydalenie czterech niemieckich urzędników z Górnego Śląska przez władze polskie, upatruje w tem system polskiej „polityki wypierania obywateli niemieckich" i staje na stanowisku, że to postępowanie władz polskich nie może pozostać bez wpływy na rokowania o traktat handlowy". Wobec tego „rząd niemiecki jest zdania, że przy tym stanie rzeczy rokowania w dotychczasowy sposób prowadzone, nie mają widoków powodzenia" i zdaniem rządu niemieckiego „wskazane jest zawieszenie rokowań, prowadzonych w Berlinie, a w tym okresie musiałyby być przedsięwzięte próby uregulowania tych zagadnień, które wynikają z omawianych wydaleń i usuwań". Nota ta była jawnem zerwaniem rokowań, wobec czego do traktatu handlowego z Niemcami nie dojdzie.

Wobory na Śląsku Opolskim. W niedzielę odbyły się na Śląsku opolskim wybory do czterech sejmików powiatowych i cztarech miast, a to w związku ze zmianą granic powiatów i rozszerzeniem granic miast. Rezultaty głosowania w poszczególnych miastach i powiatach w porównaniu z wyborami w listopadzie 1925, były na ogół dla Polaków korzystniejsze, zdaje się jednak, że w sumie polski stan posiadania pozostał niezmieniony w porównaniu z ostatnimi wyborami. Znaczniejszy przyrost polskich głosów ujawnił się zwłaszcza w powiecie bytomskim.

Krwawy sąd nad rewolucjonistami. Rząd portugalski, jak to zresztą było do przewidzenia, stłumił rewolucję. Tak w Oporto jak i w stolicy panuje obecnie spokój. Rząd występuje przeciwko wszystkim uczestnikom buntu jak najostrzej. Wszyscy, którzy zostali schwytani z bronią w ręku, będą rozstrzelani. Więzienia są przepełnione. Załoga kanonierki „Bengo", która w czasie powstania strzelała do wojsk rządowych, została przetransportowana do Lizbony. Sądy wojenne zbiorą się z początkiem przyszłego tygodnia i wydadzą prawdopodobnie znaczną liczbę wyroków śmierci.

Z Ligi Narodów. W Genewie zbiera się co roku Rada Ligi Narodów. Najbliższa sesja Rady Ligi Narodów zostanie otwarta 7 marca b. r. Prowizoryczny porządek dzienny obrad tej sesji został już rozesłany rządom państw, będących członkami Ligi Narodów. — Wśród przedmiotu obrad znajduje się jedna sprawa mniejszościowa, wniesiona na porządek dzienny na skutek apelacji dotyczącej niemieckich szkół mniejszościowych w Wilczej Górnej, w Łazienkach Górnych i Bytkowie na zasadzie art. 147 konwencji polsko-niemieckiej w sprawie G. Śląska.

KRONIKA.

Od Administracji. Z powodu ciągłych skarg na późne doręczanie „Roli“, a przy tem nieraz poniszczonej, podajemy do wiadomości wszystkich Sz. Czytelników, że „Rolę“ oddajemy na pocztę we czwartek w południe i Sz. Czytelnicy powinni ją otrzymać w piątek, a w dalszych okolicach najpóźniej w sobotę. Jeżeli się zdarza, że „Rola“ przychodzi później to tylko z tego powodu, że w drodze jest wyczytywana, a jeżeli takie wypadki zachodzą to prosimy donieść nam, my zaś te zażalenia będziemy kierowali do dyrekcji poczt. Zalepianie „Roli“ celem zabezpieczenia od wyczytywania a przy tem niszczenia na razie nie zastosujemy, gdyż przypuszczamy, że przez wnoszenie skarg zło usuniemy. Zawiadamiamy także Sz. Czytelników, że za doręczanie „Róli“ nie należy uiszczać żadnych opłat, gdyż listonoszów opłaca poczta a posłańców pocztowych gmina, wszelkie zatem wymuszenia datków za doręczanie „Roli“ jest niewłaściwe i miejsca mieć nie powinny. Wkońcu zawiadamiamy, że na wnoszone reklamacje o przepadłe w drodze numera nie należy przylepiać znaczków pocztowych.

Organizacja Zawodowych Rolników. Piszą nam: Praca w kierunku zespolenia rolników w jeden wielki, ściśle zawodowy związek, obejmujący wszystkich rolników, po wszystkich dzielnicach naszej ziemi zatacza coraz większe i pojemniejsze kręgi. Obecnie przystąpiono do zorganizowania Związku rolników w powiecie krakowskim, który ze względu już na samą tradycję i historję tej prastarej dzielnicy polskiej powinien w każdem uczciwem i szlachetnem zamierzeniu być pierwszym; tak jak ongiś pierwszy porwał za kosy i poszedł za Kościuszką w bój za wolność narodu, tak i dziś synowie tej dzielnicy stają i łączą się do wspólnej pracy dla dobra uciśnionego stanu rolniczego, a tem samem dla dobra ojczyzny, której są fundamentem i podstawą. Pierwszy Okręgowy Związek zawodowych rolników powstał w Modlnicy, w skład którego weszli rolnicy wszystkich wsi, należących do tej parafji, a więc z Modlnicy, Modlniczki i Tomaszowic. Z największem uznaniem podnieść należy dla przykładu innym, że po wysłuchaniu referatu (na otwartem polu, na śniegu) wszyscy zgromadzeni jednogłośnie, wśród oklasków i żywego zainteresowania uchwalili utworzyć zawodową organizację, ażeby całą ławą i siłą bronić swoich praw i interesów i iść ręka w rękę do wspólnego celu, t. j. do podniesienia dobrobytu rolników. Prezesem Związku Okr. wybrano Mazura Tomasza, nacz. gm., zastępcą prezesa Szumca Jana, sekretarzem Wesołowskiego Jana, skarbnikiem Czajowskiego Piotra, nadto do zarządu weszli pp. Halenda Jan, Słaboń Jan i Bąbka Antoni. Zarząd natychmiast przystąpił do dalszej pracy. — Drugi Okr. Związek zawod. rolników utworzono w Zielonkach, w jednej z największych i najbardziej postępowych wsi powiatu krakowskiego. Na zebranie przybyli najświatlejsi gospodarze tej gminy i to tak licznie, że duża sala zaledwie ich pomieścić mogła. Sprawę i potrzebę zawodowej organizacji referował szczerze, jasno i z całą życzliwością dla dobra ludu znany tu od szeregu lat insp. Lorenz. Po wysłuchaniu przemówienia i po ożywionej dyskusji uchwalono, mimo sprzeciwu z jednej strony, utworzyć w Zielonkach jedną wspólną, bez żadnego zabarwienia politycznego, ściśle tylko zawodową organizację wszystkich miejscowych rolników. Do zarządu wybrano: Prochala Piotra prezesem, Gajdę Jana zastępcą, Bieńczyckiego Wojciecha sekretarzem, Gajdę Andrzeja skarbnikiem, — na członków Małaka Wojciecha, Biernata Michała i Najbachorza Edwarda. Życząc szczęść Boże! obom tym Okr. Związkom, które dały dobry początek zamierzonej pracy, mamy nadzieję, że powiat krakowski, rozumiejąc swój własny interes, zorganizuje się wnet cały.

Wielka kradzież w Krynicy. W dniach ostatnich w Krynicy popełniono olbrzymią kradzież, której ofiarą padł bogaty rabin Teutelbaum. Pewnego dnia dowiedział się, że z domu zginęło mu 170 dolarów, wielki, kosztowny sznur pereł i wspaniały pierścień brylantowy. Stało się widocznem, że kradzieży dokonał ktoś z domowników, gdyż nie było żadnych śladów włamania. Podejrzenie padło na służącą zatrudnioną w Krynicy u brata rabina. Przyparta do muru przyznała się ona do popełnionej kradzieży i wskazała miejsce, gdzie ukryła skradzione pieniądze i przedmioty. Oddano je właścicielowi, amatorkę zaś aresztowano.

Krwawe wesele. Podczas wesela, odbywającego się u gospodarza Migacza we wsi Libranlowa w powiecie nowosądeckim, powstała sprzeczka między dwoma biesiadnikami. Sprzeczka przeszła rychło w ostrą bójkę, w czasie której jeden z nich Świderski ugodził przeciwnika Pawła Itołę tak nieszczęśliwie nożem w plecy, że ten zmarł po godzinie wśród strasznych męczarni. Zabójca został aresztowany i oddany do dyspozycji prokuratora w Nowym Sączu.

Duchy w mieszkaniu. W Jasiennej koło Nowego Sącza mieszkał sprytny jegomość nazwiskiem Jędrzej Piekarz, który czuł wstręt do pracy. Postanowił więc wyzyskać naiwność włościan z okolicznych wiosek, przed którymi począł grać rolę proroka. Potrafił biednym włościanom wmówić, że mieszkanie jego jest święte i że za jego wolą odwiedzają je duchy. Zbierających się w jego domu na wspólne modlitwy wysyłał do stajni, następnie pojedynczo wpuszczał do swojego mieszkania, gdzie otaczały ich „duchy“, dzwoniąc nad dopuszczonymi do „świętego miejsca“ różańcami, skrapiając ich wodą kolońską i wymawiając tajemnicze wyrazy. — By wiedza o tych zgromadzeniach nie doszła do uszu policji, odbierał prorok przysięgę od swych zwolenników, że zachowają w tajemnicy wszystko, co u niego zobaczą i usłyszą. I powodziło się prorokowi nieźle. Otumanieni włościanie znosili mu ofiary w różnej formie, zwłaszcza w gotówce, którą też najchętniej przyjmował.

Gdy nastawały jasne noce księżycowe i trudniej było pokazywać duchy, wówczas „prorok“ znikał, ogłaszając, że jedzie do Częstochowy, Betlejem, Jerozolimy lub na Górę Synaj. Ludzie wierzyli, policja jednak okazała się mniej łatwowierna i gdy dowiedziała się o sprytnym „proroku“, odwiedziła „miejsce święte“, gdzie aresztowała 3 duchy, którymi okazali się zwykli śmiertelnicy: Ignacy i Stanisław Mordarscy z Mszalnicy i Jan Morawa z Jasiennej. Sam „prorok“ Piekarz wyjechał w owym czasie do „Jerozolimy“, nie ulega jednak wątpliwości, że i on lada dzień dostanie się w ręce policji.

Straszliwe morderstwo. W ubiegły wtorek, w domu przy ulicy Solec 71 w Warszawie dokonano strasznego morderstwa, którego ofiarą padło 5 osób. Gospodarz mieszkania Maślanka zabił najpierw swą żonę, następnie matkę jej Witkowską, jej dwie córki: Irenę i Stanisławę, oraz syna Edwarda Witkowskiego, poczem sam się zastrzelił. Morderstwa dokonał przy użyciu rewolweru. Powody zbrodni są nieznane, chociaż w pozostawionym liście Maślanek twierdzi, iż uczynił to dlatego, gdyż rodzina żony zatruwała mu życie.

Śmierć w kotle. We wsi Czaple powiat Wąbrzeżno wydarzył się straszliwy wypadek. W czasie zmy-

wania podłogi przez niejaką Murzalską wpadło do kotła z ukropem dwoje jej dzieci 5-letni synek i 4-letnia córeczka, bawiący się obok. Natychmiastowa pomoc matki okazała się daremną. Oboje dzieci wśród strasznych męczarni zmarły w kilka minut po wyciągnięciu z kotła.

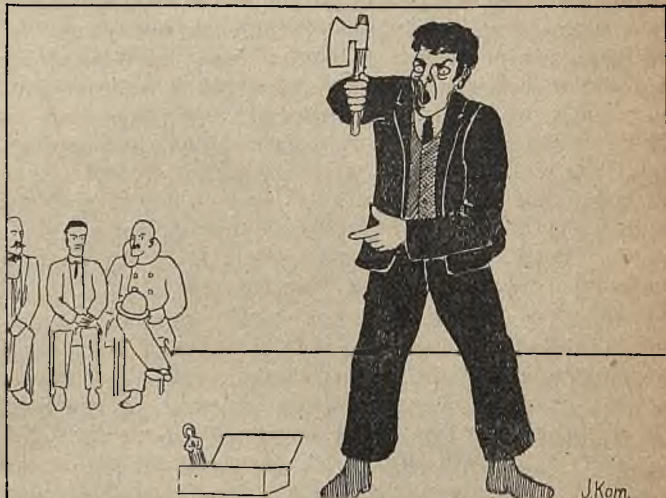
Masowe zatrucie. Z Wilna donoszą: W jednej ze wsi pod Mołodecznem zaszedł wypadek masowego zatrucia. Onegdaj mianowicie odbywało się w tej wsi wesele u pewnego gospodarza, który ze względów oszczędnościowych, zamiast wódki zakupił u potajemnego handlarza spirytus drzewny i raczył nim swoich gości. Nazajutrz wszyscy ciężko zachorowali, wobec czego dano znać władzom, które wraz z lekarzem powiatowym przybyły na miejsce. Pomoc była już jednak spóźniona. Trzynastu uczestników tej denaturowej libacji po kilku godzinach zmarło, dwunastu walczy ze śmiercią. Ponadto jest kilka osób lżej chorych. Potajemnego handlarza, który dostarczył tej trucizny, a nazywa się Sopoćko, aresztowano.

Trójkąt małżeński. W jednej wsi, w powiecie sieradzkim, mieszkał 63-letni zamożny włościanin Szatkowski, który przed dwoma laty ożenił się z 19-letnią dziewczyną. Skutki tego niedobranego małżeństwa nie dały na siebie długo czekać. Szatkowska wkrótce po zamążpójściu zawiązała romans z 17-letnim pasierbem. Romans trwał blisko dwa lata, zanim wreszcie Szatkowski opamiętał się i odkrył go. Następstwem było, że kazał synowi opuścić dom. Syn istotnie opuścił wieś, lecz tylko pozornie, gdyż wkrótce wrócił i korzystając z nieobecności ojca, spędził ze swoją macochą kilka godzin. Rano następnego dnia kochankowie, zabrawszy ze sobą kilka tysięcy złotych, opuścili wieś. Zdradzony starzec poszukiwał ich, aż wreszcie onegdaj spotkał ich w Łodzi. Na widok męża i ojca oboje zaczęli uciekać, lecz Szatkowski dogonił ich i chwycił żonę za rękę, chcąc ją przytrzymać.



Wtedy syn chwycił leżący na ulicy kamień i ugodził nim ojca w głowę z taką siłą, że Szatkowtki runął na ziemię z roztrzaskaną czaszką. Po spełnieniu tego czynu kochankowie uciekli i ukrywają się dotychczas przed pościgiem policji.

Występ fanatyka. W czasie zebrania Tow. Czytelni Ludowej w Gnieźnie zaszedł niezwykły wypadek. W trakcie obrad zażądał głosu niejaki Norbert Sekulski, znany ze swych fanatycznych przekonań, a otrzymawszy go, wszedł na mównicę z tajemniczem jakiemś pudłem w ręku. Pod wpływem wrażenia, jakie sprawiała twarz tego fanatyka na sali zapanowała grobowa cisza. Sekulski tonem apostoła zaczął wygłaszać jakieś nie wiążące się logicznie hasła i teorje, a ponieważ wszystko to było dziwnie chaotyczne i bezładne, prezes zebrania zawezwał go do streszczania się. Sekulski jakby tylko na to czekał. W niesłychanem podnieceniu zerwał szybkim ruchem wieko z przyniesionego pudełka i wydobył z niego figurę Matki Boskiej. Ukazując ją obecnym, wyjął jednocześnie stalowy tasak do siekania mięsa i ze słowami: „jeżeli moje słowa nie porwały was, to niech moja krew przemówi“ — uderzył z całej siły tasakiem w samą rękę, odcinając sobie palec wskazujący.



Na środek sali prysnęła krew z rany. Nie zważając na to, Sekulski wydobył z pudła wielki plakat, na którym wypisane były słowa: „Trzy lata czasu masz jeszcze Polsko i biada ci, jeżeli się w tym czasie nie obudzisz“, Następnie brocząc obficie krwią z rany, Sekulski zarzucił na ramiona płaszcz i pośród ustępujących się przed nim zebranych szybkim krokiem przeszedł przez salę, poczem znikł na ulicy. Wypadek ten wywołał wśród obecnych wstrząsające wrażenie.

Chrzest mahometanina. W Granowie pow. starogardzkiego został ochrzczony mahometanin, b. jeniec armji francuskiej, który po ukończeniu wojny pozostał na miejscu. Miejscowy proboszcz przygotowywał go do chrztu przez 4 lata. Ze względu na niezwykły wypadek w kościele zgromadziły się tłumy publiczności z okolicy.

Pod zarzutem morderstwa. W Mestwinie pow. kartuskiego aresztowano pod zarzutem morderstwa właściciela majątku Rosena, pochodzącego z Warszawy. — Sprowadził on się w r. 1921 i mieszkał przez dłuższy czas z rozwódką Cissowską, która przed półtora rokiem zmarła nagle wśród dziwnych okoliczności i została pochowana w parku w majątku. Onegdaj znowu znikła bez śladu jej 16-letnia córka, która przyjechała na wakacje z pensji do Mestwina. Istnieje uzasadnione przypuszczenie, że została zamordowana. Policja prowadzi energiczne dochodzenie dla wyświetlenia tej tajemnicy.

Pocieszne zajście w teatrze. Niedawno temu zdarzyło się, że w jednym z teatrów wiedeńskich na premjerze pewnej sztuki, w momencie największej ciszy, kiedy cała publiczność z zapartym oddechem wsłuchiwała się w słowa interesującego djalogu scenicznego, nagle w jednem z pierwszych rzędów foteli rozległo się miarowe dzwonienie budzika. Był to budzik kieszonkowy, spoczywający w kieszeni radcy W. i niewiadomo dlaczego nastawiony na tak niewłaściwą godzinę. Właściciel niedyskretnego instrumentu spazmatycznie usiłował powstrzymać jego gadatliwość, lecz napróżno. Publiczność momentalnie zapomniała o akcji scenicznej i zaczęła — na przekór podniosłemu nastrojowi — parskać serdecznym śmiechem. Wówczas siedzący w dru-

gim rzędzie dziennikarz nachylił się do właściciela przeklętego budzika i rzekł półgłosem, który jednak słyszano w całej sali:

— Dzień dobry, panie radco!

Powstał teraz ogólny, głośny śmiech, a radca W. spiesznie opuścił salę, nie czekając, aż elektryczność oświeci jego zawstydzoną minę.

Dziwne podobieństwo. Przystojny Londyńczyk, Jacques Brown zakochał się, jak to mówią, od pierwszego wejrzenia w pięknej sprzedawaczce w jakimś z handlów tytoniowych i postanowił z miejsca ożenić się z nią! Lecz ubóstwiana, jakkolwiek okazywała mu sympatję, nie pozwalała za żadną cenę na odwiedziny w domu u rodziców, uzasadniając zakaz konserwatyzmem rodziców. Młody Jack stosował się przez czas jakiś do próśb uwielbianej, wreszcie jednak nie wytrzymał i raz w niedzielę zadzwonił do drzwi, niedostępnych dla niego tak długo. Otworzyła mu jego najdroższa, lecz zamiast się ucieszyć, przeraziła się nie na żarty!

— Niech pan natychmiast odchodzi, nim nadejdą moi rodzice — krzyknęła z przestrachem.

Było już jednak za późno: oto nastąpiło coś dziwnego... Młody człowiek przecierał oczy po kilka razy, ale zjawa nie znikała. Do przedpokoju wszedł sobowtór jego ukochanej, sobowtór, który zmieszał się również! Cóż się okazało? Oto biedny Jack padł ofiarą figla. Narzeczona jego miała siostrę bliźniaczkę, podobną do siebie tak bardzo, że nawet rodzice nie umieli jednej od drugiej odróżnić. Oto raz na schadzkę z Jackiem szła jedna, a następnym razem druga. Biedny Jack kocha obie, i nie wie, z którą się ma ożenić? Niewiadomo czy zapały te podzielają również bliźnięta, bo jeśli kochają się w jednym chłopcu obie, to gotowa jeszcze nastąpić tragedja. A może podobieństwo jest aż tak wielkie, że same nawet dziewczęta nie mogą rozróżnić jednej od drugiej...

Okropny gość. Niezwykłą przygodę przeżyli zaproszeni goście przez jednego z urzędników marynarki w Tricomali na wyspie Cejlon. W czasie najbardziej ożywionej rozmowy — nagle pani domu skinęła na jednego ze służących i kazała mu podać talerz mleka. Talerz ten poleciła umieścić na skórze rozłożonej w pobliżu jej krzesła. Było jasnem, że w mieszkaniu znajduje się wąż, a mleko jest przysmakiem, któremu żaden płaz nigdy się nie oprze. Widocznie wąż wpełzł do pokoju przez drzwi werandy. Podziałało to przygnębiająco na obecnych. Wszyscy zamilkli, rzucając tylko wokoło przerażone spojrzenia, w oczekiwaniu na strasznego gościa. Gdy tylko talerz z mlekiem postawiono na podłodze, podpełzł olbrzymich rozmiarów wąż cobra. Cobrę oczywiście natychmiast zabito. Okazało się, że cobra umiejscowiła się pod krzesłem pani domu i poczęła uderzać łbem o jedną z nóg krzesła. Gdy gospodyni to dostrzegła, nie tracąc przytomności, skorzystała z łakomstwa węża, kazała podać mleko, ratując tym sposobem życie sobie i swoim gościom, gdyż cobra należy do najjadowitszych wężów.

Ładny zarobek. Słynna skrzypaczka, dwudziestoletnia Erica Morini, koncertująca obecnie w Paryżu, podpisała kontrakt na 30 koncertów w Australji. Jej honorarjum „netto" wyniesie 55.000 franków za koncert. Wszystkie koszta (podróż, hotel, akompanjator, jej dama do towarzystwa i t. d.) będą zapłacone osobno. — Erica Morini koncertowała w ubiegłych latach kilkakrotnie w Krakowie.

Pływający uniwersytet. W najbliższym czasie w Nowym Jorku zostanie otwarty i... puszczony na wody oceanu „pierwszy pływający uniwersytet", ufundowany według pomysłu i za pieniądze Carnedgiego. „Pływający uniwersytet" jest ogromnym parowcem, zbudowanym według ostatnich zdobyczy technicznych. Na sześciu piętrach parowca rozmieszczone zostaną widne i obszerne sale wykładowe, obliczone na 600 do 700 słuchaczy. Kajuty zostaną przystosowane do typu dużych kabin, w których będą znajdowały się sypialnie słuchaczy, połączone z salami sportowemi, palarniami, widowniami przedstawień kinematograficznych i teatralnych. Uniwersytet posiadać będzie na razie tylko dwa wydziały: przyrodniczy i matematyczny ze specjalnym oddziałem dla morskich inżynierów. Kolegium profesorskie, liczące 55 profesorów, zostało już skompletowane, a przewidziany kurs wykładów obejmuje dwa lata, wówczas gdy „lądowe" uniwersytety ten sam program uskuteczniają w ciągu trzech lat. Przyspieszone tempo nauki tłomaczy się oszczędnością czasu, gdyż podczas podróży słuchacze będą pozbawieni „ziemskich pokus". Program nauki przewiduje około 40 punktów... przystankowych w różnych najważniejszych portach kuli ziemskiej, przyczem owe przystanki zostaną najskrupulatniej wyzyskane w celach naukowych. Ćwiczenia praktyczne i egzaminy z historji starożytnej mają się więc odbywać w Grecji, na ruinach i pamiątkach helleńskiej kultury, a badania geologiczne gdzie na przylądku Dobrej Nadziei. Inicjatorzy „pływającego uniwersytetu" żywią niezłomne przekonanie, iż po dwuletniem pływaniu po wszystkich morzach świata i usilnej pracy swych słuchaczy w tak niezwykłych warunkach, rezultaty będą najlepsze! Czy doświadczenie amerykańskich profesorów istotnie odpowie pokładanym nadziejom — trudno przesądzać.

Rekord małżeński. Państwo Blad z Robersonville w stanie północna Karolina odbyli długą podróż do Waszyngtonu po — sprawiedliwość. Szło im bowiem nie o byle co, bo o nagrodę za rekord niezwykły. Rekord ojcostwa i macierzyństwa. W Ameryce, kraju wszelkich rekordów, możliwy jest i taki, choć raczej należy przypuścić, że rekord stworzył się sam, nie będąc jedynym celem szczęśliwego pożycia państwa Blad. Osiągnęli oni bowiem niebywały rekord — dania życia 34 dzieciom i uważając to za specjalne błogosławieństwo losu, nie szukali bynajmniej sławy z tego powodu. Tymczasem jednak do cichego Robersonville nadeszły wieści z Białego Domu, że wielokrotne ojcostwo (oczywiście w jednem małżeństwie) jest nagradzane i uważane za chlubne, a nawet dzienniki zamieściły podobizny laureatów, jakiegoś małżeństwa ze stanu Georgia, które ma tylko (!) 28 dzieci, to zdecydowało. Państwo Blad pospiesznie przybyli do prezydenta Coolidge'a, wytaczając swą słuszną pretensję, iż nagroda im się należy.

Śmierć prymasa cyganów. W Ameryce umarł w szpitalu słynny skrzypek cygański Rigo, licząc lat 60. Rigo, który święcił ogromne tryumfy w Ameryce i we Francji, urodził się w górach węgierskich i był żonaty 7 razy. Ogromną wrzawę wywołała w r. 1896 jego ucieczka z Paryża z księżną Caraman-Chimay. Zdobycie księżny nie było może trudne, ale skandal był ogromny ze względu na jej męża, który pochodził z najznakomitszej rodziny belgijskiej. Księżna, rodowita Amerykanka, z domu Clara Ward, córka handlarza drzewa, który zdobył majątek w kwocie 10 miljonów dolarów, była znana w eleganckim świecie z swojej piękności i ekscentryczności. Pewnego razu wydała np. obiad na cześć swego setnego przyjaciela! Książe de Chimay rozwiódł się z nią po skandalu. Księżna wyszła zamąż za Riga, ale rozwiodła się z nim w trzy lata później i poślubiła jakiegoś naczelnika stacji w Neapolu.



Kobyła u płotu...

Pewnego poranku kwietniowego w latach już po wyprawie wiedeńskiej, wśród drogi piaszczystej między Czerniakowem a Wilanowem pod Warszawą ugrzęzła fura, naładowana zbożem. Szlachcic mizerny poganiał i krzyczał na kobyłę, do furki zaprzężoną; daremne wysiłki! Wtem na dobrym koniu podjechał do szlachcica jakiś personat dobrej tuszy, o wąsie zawiesistym, uchylił czapki i rzekł:

— Niech będzie pochwalony! A co to,panie bracie, kobyła nie może poradzić?

Szaraczek spojrzał na przybyłego, przez chwilę wyraz niezmiernego respektu zamigotał w jego źrenicach, lecz natychmiast spędziła ów respekt błyskawica gniewu zajadłego.

— Na wieki wieków! Jużci, że przez te piaski kobyła nie uciągnie.

— Czekajcie, panie bracie, pomogę wam trochę.

Tu personat zsiadł z konia, którego wprzągł szaraczek do wozu, i tak przebyli piaski najgorsze. Po drodze szarak wyklinał:

— Niema porządku w naszej rzeczypospolitej. O parę staj od rezydencji królewskiej takie drogi złe! Czyż to nie wstyd dla samego króla Jegomości?

— Ależ umitygujcie się, panie bracie. Nie obrażajcie majestatu. Król musi myśleć o sprawach całego państwa; sprawy chrześcijaństwa na jego głowie. Lecz ja powiem mu, a król każe drogę naprawić.

— Eh: — machnął szarak ręką — tutaj i król Jegomość nie poradzi. Niema porządku, niema posłuchu u nas.

— Za pozwoleniem, panie bracie — daję wam szlacheckie słowo, że w trzy miesiące droga będzie gotowa.

— Słowo szlacheckie? — spytał żywo szarak. — A jak nie będzie?

— To jakem szlachcic — odparł zapalczywie personat — pocałuję kobyłę w podogonie.

I rozjechali się.

W kilka miesięcy potem pewnego dnia lipcowego, dworzanin przyboczny króla Jana III. Sobieskiego w Wilanowie zbliżył się do niego z miną zafrasowaną.

— Najjaśniejszy Panie — ozwał się — szlachcic jakiś doprasza się już od rana o zaszczyt ujrzenia oblicza Waszej Królewskiej Mości. Mówi, że Wasza Król. Mość sam go upoważnił do przybycia.

— Puścić go! — rozkazał Jan.

Szlachcic wszedł, rękę królewską ucałował i czekał aż go monarcha zagadnie. Król Jan spojrzał na przybyłego i poznał go odrazu. Był to ów szaraczek.

— Cóż nam powiesz, panie bracie?

— Najjaśniejszy Panie — odrzekł szlachcic z determinacją w głowie — droga nie gotowa.

— No, tak — odparł król zakłopotany — kazałem sam podstarościemu; obiecywał parę razy i nie zrobił... No, cóż chcesz! U nas trudno o pośpiech.

— Najjaśniejszy Panie — zakonkludował szlachcic. — Słowo się rzekło, kobyła stoi u płotu...

Król wsią całą musiał się okupić; słowa szaraka przeszły do historji.

RZECZY CIEKAWE.

70 lat na piecu.

Statystyka ludności, przeprowadzona niedawno w Rosji, obfitowała w różne ciekawe epizody. Kiedy urzędnicy spisujący zapytali pewnego chłopca, ile ma lat, odpowiedział: „Napiszcie 12-letni i jeszcze nieżonaty“. — Na jednem z przedmieść Charkowa, w starym domu na wzgórzu mieszka staruszka, wyglądająca mniej więcej na lat 70. Będąc częściowo sparaliżowana, leży na piecu, a córka stara się o jej utrzymanie. Okazało się, że staruszka ma lat 103. Koleją nigdy nie jechała, nie widziała również tramwaju, gdyż już 70 lat nie wychodzi z domu.

Jubileusz skrzynki pocztowej.

Skrzynka pocztowa obchodzi w bieżącym roku stulecie swego istnienia. Kto ją wynalazł, dokładnie nie wiadomo, pewnem jest natomiast, że pierwsze skrzynki w Europie, ukazały się w Berlinie i Kolonji. Były to niewielkie drewniane pudła, zrobione z drzewa, malowanego w paski białe. Otwierały się u góry, aby można było wyjąć z nich listy nieopłacone, rzucone przez otwór boczny. Nieznane były w owym czasie znaczki pocztowe, a list opłacał dopiero adresat. Skrzynki nie miały zrazu zbyt wielkiego powodzenia a przyjęły się dopiero z chwilą, wprowadzenia znaczków pocztowych. W roku 1840 ukazały się w Londynie pierwsze znaczki pocztowe z portretem królowej angielskiej. Od tej daty rozpoczął się olbrzymi rozwój ruchu pocztowego. Dziś Anglja wysyła trzy i pół miljarda listów rocznie, Francja dwa i pół, Włochy ponad pół miljarda. Niemcy siedm miljardów. Wszelkie rekordy pobijają Stany Zjednoczone, wysyłając rocznie około siedmnaście miljardów listów, kart pocztowych, próbek i ogłoszeń reklamowych.

Czerwony kolor a byki.

Rozpowszechnione wszędzie mniemanie, jakoby czerwony kolor działał drażniąco na byka, okazuje się w wyniku szerszych badań jako nieuzasadnione. Wedle „psychologji zwierząt“ Hempelmanna trzydziestu bykom z Simmentalu wymachiwano czerwonem suknem przed oczyma, a nawet lekko zarzucano na głowę, a żaden z nich nie wykazał najmniejszego podrażnienia czy zdenerwowania.

Siła a mowa.

Amerykański uczony dr. Kaye postawił sobie zadanie obliczyć, ile siły zużywa człowiek podczas mówienia. Okazało się, że zadziwiająco mało. Badacz ten twierdzi, że energja zużywana przez miljon ludzi podczas 1 i pół godzinnego przemówienia, starczyłaby zaledwie na ugotowanie wody do filiżanki kawy czy herbaty.

Mrożone żywe ryby.

W Hawrze poczyniono w ostatnich czasach ciekawe doświadczenia nad zamrażaniem ryb morskich, bez pozbawienia ich życia, a to celem transportowania ich w stanie żywym na miejsce przeznaczenia. W tym celu wprowadza się w wodę z rybami, która ma podlec zamrożeniu, większą ilość tlenu. Zamknięte w bloku lodowym ryby, otoczone warstwą tlenu, popadają w stan letargu, a po pewnym czasie przez stopniowe podwyższenie temperatury, po wolnem rozpuszczeniu lodu, przywraca się je do życia. W taki sposób zamrożone ryby można transportować na dalekie odległości. Doświadczenia powyższe budzą zainteresowanie z punktu handlowego i fizjologicznego.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.: **Jan Bukowiec** w U.: Antykwarni księgarskich w Krakowie jest bardzo dużo, mieszczą one się przeważnie przy ulicy Szpitalnej. — 1 stopień Celsiusa równa się 1.8 Farenheita, jeknak w miejscu gdzie na termometrze Celsiusa jest zero, tam na Farenheita 32, zaś gdzie na Celsiusa 100, na Farenheita 212. — Aby odpowiedzieć na trzecie pytanie zrozumiale, trzebaby napisać obszerną rozprawkę, gdyż sprawa wchodzi w zakres nauk ścisłych. — **Franciszek Wszoł** w R.: Z prawdziwem współczuciem przeczytałem list Pański, lecz, niestety, nic na to nikt poradzić nie może, bo sprawa została już przesądzona. Wprawdzie ludzie ci, którzy tyle złego dla biednych uczynili, poszli w odstawkę, ale krzywd wyrządzonych nawet najlepszy rząd wynagrodzić nie potrafi. W podobny sposób przepadło ludziom wiele pieniędzy. W każdym razie dowody trzeba zachować, a naciskać na posłów, aby starali się choć w części złe naprawić, na które zezwolili. Tak to bywa, jeżeli się do sejmu wybiera byle kogo, a nie wyłącznie ludzi światłych i uczciwych. — **Jan Magiera** w B. i **Piotr Furmański** w Z.: Okładkę do „Roli" można otrzymać po 1 sztuce, tylko my dajemy ją robić dopiero, gdy zbierzemy 25 zamówień z różnych stron. — **Ignacy Biegacz** w P.: Pierwsza próbka jeszcze nie do druku, ale znać w niej pewien talent. Może dalsze będą całkiem dobre. — **Józef Krzyszkowski** w K.: Wierszyki dobre — umieścimy. Co do „Legendy o Zakopanem" trudno nam coś powiedzieć, nie znając jej. — **Wojciech Ryczek** w N. S.: Na okładki można pieniądze przysyłać gdy tylko nadeśle ponad 10-ciu, damy zrobić i zaraz roześlemy. — **Ks. Ignacy Koza** w O.: Ekspedycja „Roli" odbywa się we czwartek w południe — wnieśliśmy zażalenie do dyr. poczt. — **J. Cichoń** z P.: Interwencja zarządzona. „Rola" będzie wcześniej doręczana i nie poniszczona. — **A. Kulaszkowa** w Ch.: Kalendarze wyczerpane, czy pieniądze odesłać? — **Wojciech Żak** w Sp.: Prenumeratę otrzymaliśmy — nic Pan już dłużen nie jest. Zażalenie wniesiemy do dyr. poczt. „Rola" musi przychodziś na czas i nie potargana. — **Prenumerator** pytający się o źródło na zbyt skórek ze zwierząt leśnych: Prosimy zwrócić się do handlu futer Trąbki Kraków, ul. Szewska.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

H. Buchta z Krynicy 50 gr., Stanisław Jachimowicz z Grybowa 1 zł. 90 gr., Wyszatycki Kaz. z St. Soli 30 gr., Kwarciński Józef 30 gr.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 15 lutego b. r.

Pszenica	52·00—53·00	Słoma długa	5·50— 6·50
Żyto	40·00—40·50	Ziemniaki stoł.	0·00—00·00
Owies	31·50—32·00	Koniczyna na-	
Jęczmień	35·00—37·00	sienn. czer.	470·00—490·00
Groch zwyk.	48·00 - 52·00	Mąka pszen.	90·50—91·50
Fasola biała	53·00— 57·00	Mąka żytnia	62·50—63·50
Łubin żółty	31·50—32·50	Otręby żytnie	26·00—27·00
Siano słodk.	11·00 - 12·00	Otręby pszen.	26·00—27·00
Koniczyna	15·00—17·00	Pęcak zwycz.	50·00—51·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Giełda pieniężna. Dolar nieco się obniżył, łacą od 8·90 do 8·94 za jednego.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: Konto pocztowe 406.301 Kraków.



Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Jakób Cichoń z P.).

■ ☆ ☆ ☆ Kościół parafjalny.
■ ☆ ☆ ☆ Bożek miłości.
■ ☆ ☆ ☆ Dopływ Wisły.
■ ☆ ☆ ☆ Budynki.
■ ☆ ☆ ☆ Księstwo angielskie.
■ ☆ ☆ ☆ Służą do chodzenia.
■ ☆ ☆ ☆ Imię żydowskie.
■ ☆ ☆ ☆ Nazwa psa.
■ ☆ ☆ ☆ Rzecz drukowana.
■ ☆ ☆ ☆ Drób.
■ ☆ ☆ ☆ Czar.
■ ☆ ☆ ☆ Oznaczają łąki.
■ ☆ ☆ ☆ Trunek.
■ ☆ ☆ ☆ Inaczej przysięga.

Początkowe litery, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko znanego poety.

2. Szarady.

I.

(Ułożył W. Ptasiński z B.).

Pierwsza płynie z wiosną,
Druga to zebranie,
Całość, to rzemieślnik,
W tem tkwi rozwiązanie.

II.

(Ułożył Jan Patulski z S.).

Druga pierwsza, że wciąż beczy,
Nikt jej tego nie zaprzeczy,
Druga trzecia jaj w koszyku,
Więc nieś lekko mój chłopczyku.
W mróz kartofle nic nie warte.
Całość miejscowość między górami,
Gdzie goście bawią się tysiącami.

3. Zagadka arytmetyczna.

(Ułożyła Leona Standówna z B.).

Ktoś spotkał kilku ubogich: gdyby im dał po 5 gr. zabrakłoby mu 2 gr. Gdyby dawał po 4 gr. zabrakłoby mu 3 gr. Ilu było ubogich i ile ów człowiek miał pieniędzy?

4. Przestawianka.

(Ułożył Aleksander Gwóźdź z L.)

Szczere wilki me muchy zjadły!

Z liter, w powyższem zdaniu zawartych ułożyć znane polskie przysłowie.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 26 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 6 „Roli": 1. Logogryf: Mussolini, Piłsudski, 2. Szarady: Kalendarz, poranek, 3. Zagadki: Koperta, sok-kos, 4. Przestawianka: Rozszerzajcie „Rolę" Ile macie siły, By jej słowa kraj nasz cały Corychlej zwiedziły.

Dobre rozwiązanie wszystkich zagadek nadesłali w oznaczonym czasie pp.: Zofja Święcicka z J., Czesław Kozłowski z W.: A. Tworek z S., Stefan Reuss z K., Józef Kaizer z W. G., T. Dyduch z W., J. Wojnar z M. G., Wł. Maniewski z D., T. Biernacik z N. S., Andrzej Grzegorzek z U., W. Rzepka z O., Janina Nowakówna z W., Jan Lose z M.K., Wł. Klęk z G., Wacław Pytelski z K., M. Walas z K., M. Woźniczka z T., Jan Półtorak z K., Karol Suchanek z W. G., Józef Czernik z M., Otton Krause z W., M. Radlmesser z S., Józef Gunia z Ł., Leon Łętowski z S., Jakób Cichoń z P., J. Bigaj z K., Fr. Kuliński z Z., Jan Śledziejowski z K., Jan Bylica z B., Józef Uroda z B., E. Cygan z B., J. Czader z S. W., J. Drąg z R., W. Flis z L., Feliks Popielarczyk z K., Wł. Stelmach z R., Jan Rosiński z K., St. Jachowicz z G., Franc. Porębski z K., Z. Moskalówna z K., Wł. Dylewicz z R., Koło młodzieży w Łętowni. Gebrjel Wirstnik z S., W. Mikówna z Z., Florjan Ciebiera z Rz., Antoni Kaszuba z Z., St. Maciejczak z M. D., Władysław Ptasiński z B., J. Józefczyk z G., Józef Topolski z B., Leonard Bogdański z J., Adam Sowiński z N. S., Hania i Frania Gacówne z B., Jan Patulski z S., Jan Sasończyk z P. Ś., J. Zagól z K.

Nagrody wylosowali pp. Czesław Kozłowski z W. i Karol Suchanek z W. G

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Nieostrożny.

Mąż na wyjezdnem do żony:

— A gdyby interesa zatrzymały mnie dłużej, doniosę ci telegraficznie.

Żona: Nie potrzebujesz się wcale fatygować. — Telegram znalazłam już gotowy w kieszeni twego palta.



Humor paryski.

Młody człowiek siedzi przy stole w towarzystwie Francuzki i Angielki; nagle Francuzka zwraca się do niego z przemiłym uśmiechem, szepcąc zarumieniona:

— Ach, pardon!

— Co się stało?

— Nadeptałam panu na nogę.

— Tak? A ja sądziłem, że to upadł korek od szampana — rzecze z galanterji pełnym uśmiechem młody człowiek.

Słysząc to Angielka, pewna niezmiernie miłego komplementu, nastąpiła ze swej strony młodzieńcowi na nogę i... ze zmiażdżoną stopą wzięto go do szpitala...

Za gotówkę.

— Janie!

— Słucham pana hrabiego!

— Kupisz podług tego wykazu ostryg, kawioru, wina, cygar i bułek; będzie u mnie dziś kawalerskie śniadanko.

— Czy mam wszystko wziąć na kredyt?

— No, nie wszystko, bułki za gotówkę...



Zna ją.

Mąż: Dziś w nocy śniło mi się, że umarłem.

Żona: A jak długo byłeś w czyśćcu?

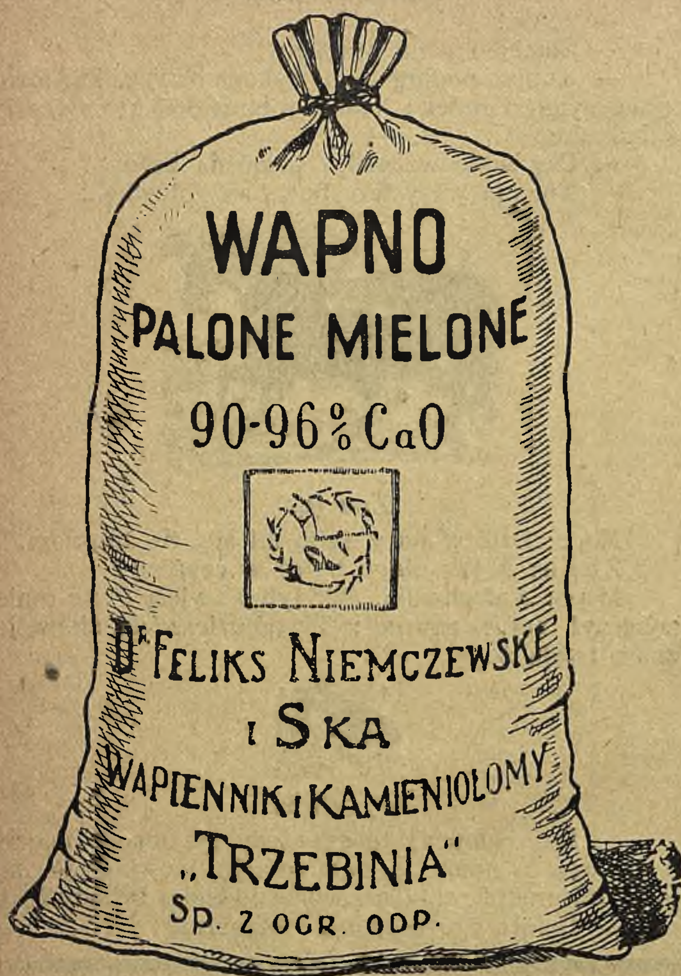
Mąż: Ani chwilki. Jak tylko święty Piotr mnie zobaczył, zaraz zawołał: Ty pójdziesz do nieba, ja znam twoją żonę.



W szkole.

— No, chłopcy, teraz kiedy już macie pojęcie o zoologji (o nauce o zwierzętach), powiedzcie mi, jakie zwierzęta robią najwięcej ludziom szkody?

— Dzieci, proszę pana profesora.



Komunikat Zw. Zaw. Rolników.

1) Powiatowe Związki, a tam gdzie niema powiatowych, Okręgowe Związki, potrzebujące jakichkolwiek druków w szczególności legitymacyj członkowskich mogą się zwrócić po takowe do Krajowego Zw. Z. R.

2) W Związku Okr. Z. R. w Gogolowie ost. p. Frysztak są do nabycia 3 zagony ziemniaków do sadzenia.

3) W Związku Okr. Odrowąż ost. p. Czarny Dunajec są do nabycia płótna b. silne samodziały.

4) Ze względu na trudności zakupienia w tym roku większej ilości koniczu w jednym źródle — niech poszczególne Zw. powiatowe szukają same odpowiedniego źródła przedewszystkiem w powiatowych spółdzielniach lub składnicach; o kredyt na zakupno zgłaszać się dp Kraj. Zw. Z. Roln. Gdyby w międzyczasie znalazło się tanie źródło podamy je w „Roli“ do wiadomości Związków.

Tadeusz Łubieński.